

SADYBA

Profesor Pliszka zadała nam wypracowanie na niedzielę: „Niedziela jako dzień na rekreację”. To stara panna, złośliwa jak nie wiem, zgorzkniała, na pewno nikt jej nie posuwa, inaczej by nie zadała takiego tematu.

Matka mówi, że to Żydówka, tak samo jak pani Hoffmann, która uczyła mnie fortepianu w podstawówce. Zresztą nie mam pewności, może Hoffmann to Niemra, w każdym razie też zgaga. Kazała mi grać Chopina na cztery ręce, a mnie nawet „Panie Janie, panie Janie, niech pan wstanie, niech pan wstanie” słabo szło na jedną. Ale jak się spytałem, czy umiałaby zagrać sama, to znaczy rękoma i stopami, wezwwała matkę. Matka posłała ojca, bo akurat miał wolne popołudnie, i sprzął mnie paskiem, zanim zdążyłem wypalić jakieś słowo na usprawiedliwienie.

Ale Profesor Pliszka to w ogóle obciach. Ciekawe, jak ona spędza niedziele. Założę się, że nic nie robi. Bo też co można robić w niedzielę? Ponadto do usrania czepia się moich wypracowań. Nie dalej jak dwa tygodnie temu kazała nam napisać coś jakby artykuł pod tytułem: „Czy Judymowie są potrzebni?” Napisałem, że nie są, wyjaśniając dlaczego. Krótko mówiąc dlatego, że prace społeczne uważam za bezsensowne. Tak jak ta fosa wokół ogródka jordanowskiego, którą kopaliśmy całą szkołą. Tyle było szumu, geodeci skakali z łąkami jak małpy, przyjechał przewodniczący rady narodowej, pierwszy sekretarz kaem, była czerwona wstęga i złote nożyczki, była orkiestra strażacka, pisali w gazecie. I po co? Miesiąc później przyjechał buldożer i wszystko zasypał, bo się okazało, że fosa naruszyła plany obrony przeciwlotniczej miasta, na wypadek wojny z enerefem. Profesor Pliszka powiedziała, że Stefan Żeromski nie miał z tym nic wspólnego, a Judymowie są potrzebni, tylko ja nie zrozumiałem tematu. Zapytałem, dlaczego nie sformułowała tematu inaczej: dlaczego potrzebni są, a nie, czy są potrzebni? Powiedziała, żebym przestał filozofować, i dała mi tróję na szynach.

Tak czy owak, wstałem dzisiaj skoro świt, jak nigdy, i ślęczę nad tym wypracowaniem: „W każdą niedzielę, zaraz po mszy u św. Józefa, na placu budowy robi się tłoczno. Zawszad ścigają gapie: damulki w szpilkach, z płaskimi torbami na długich rzemykach, przewieszonymi w zgięciu ręki; faceci w lakierkach i przykrótkich spodniach z materiału od odświętnych gangów, z marynarkami przerzuconymi niedbale przez ramię, z palcem w pętelce; skóry w bufiastych sukienkach, spod których wystają pokaleczone kościste kolana; gówniarze w miniaturowych garniturkach i białych koszulach, zapiętych na guzik pod szyją, z gumką od procy dyndającą u kieszeni.

- Będzie wysoki na jedenaście piętér, taki jak w województwie - szeptają dumnie, przechadzając się wokół hałd smolistej ziemi, wspinając się na garby, by lepiej widzieć wewnątrz nory, którą wyrwały stalowe koparki i załaly betonową mazią gruszki na radzieckich żyłach. Podziwiają ustawione w choinkę jedna przy drugiej martwe płyty, z których sterczą poskręcane badyle grubego zardzewiałego drutu. Głośno i w milczeniu marzą, żeby tak dostać przydział albo chociaż wjechać windą - tak, będzie prawdziwa winda! - na najwyższe piętro i zjechać na parter, znów wjechać, zjechać, wjechać, zjechać, wjechać. Winda będzie miała takie olbrzymie sprężyny, że nawet gdy urwą się stalowe liny, to i tak nic nikomu się

nie stanie, bo będzie skakać na tych sprężynach tak długo, aż przestanie".

- Mamusiu, jak się pisze „sprężyna”? - odwróciłem głowę w stronę matki, która siedziała na wersalce i czytała książkę historyczną. Wiem, że historyczną, bo matka innych nie czyta. Lubi arystokrację, atlasy, karety, krepy, „ą” i „ę”.

- Nie posiadasz słowniczka?

- Chciałem szybciej...

- Mnie nikt nie pomagał - uniosła oczy znad okularów. - A poza tym za okupacji dzieci nie były tak leniwe jak obecnie. Z nami nikt się nie patyczkował.

Otworzyłem słowniczek. Trzy błędy i dwójka. Kto to wymyślił? Profesor Pliszka mówi, że trzy błędy można zrobić w jednym wyrazie: „włogule”. Kaplica. Kanał. Hari Kriszna.

Pisałem dalej:

„Wyrzeć przez okno na samym szczycie i zobaczyć panoramę miasta, aż na pola pegeeru, po wieżę ciśnień, czerwony dach magistratu, może nawet srebrzące się w oddali dachy fabryki, którą zbudowali Francuzi.

Chłopcy wspinają się na cielska uśpionych maszyn, siadają na brudnym, popękany skaju krzesełek i poruszają gałkami manetek, wyobrażając sobie, że wprawiają te smoki w ruch. Matki krzyczą piskliwie, że rozedrą spodnie, poplamia koszule, zabłocą buty; ojcowie zbierają się w grupki i żywo dyskutują o potężnych wysokoprężnych silnikach umorusanych w błocie i oleju.

- Mają taką siłę, że mogłyby wyrwać z ziemi największego kasztana w parku. Bez niczego, z palcem w dupie - robią z uznaniem dziobki z ust.

W południe przyjeżdżają jelicze ze wsi, przywożąc wycieczki dziwnych ludzi: nieogolonych mężczyzn w pomiętych ubraniach; małoletnich wyrostków z przylizanymi do skóry włosami, z kolorowymi grzebieniami wystającymi z tylnych kieszeni spodni; czterdziestoletnie, zakrywające usta pokrzywionymi palcami babinki w brązowych chustach i szarych spódnicach; śniade dziewczęta w seledynowych, fioletowych sukniach i czarnych półbutach, wystraszone tak bardzo, że boją się oddychać. Dziwni ludzie ze wsi, tak jak miastowi, nie mogą się doczekać, gdy stanie pierwsze piętro, potem drugie, trzecie, czwarte...

- U nas największa chałupa ma dwa piętra - pokazują różowe dźiąsła - ale co to są dwa piętra? O, jedenaście, to się nazywa nowoczesność!

Nieopodal stoi parterowy pawilon: poczta, rzeźnik, kiosk z gazetami i bar „Celineczka”.

Nowoczesny, z oknami na całą ścianę, wykończony w środku i na zewnątrz żółtymi kwadratowymi kafelkami. W niedzielę poczta, rzeźnik i kiosk są nieczynne, za to w barze zbierają się mężczyźni, czasami odważy się wejść do środka kobieta. Nie, nie żeby piła, stoi u boku męża przy długim, wysokim stole, którego blat sięga do piersi, i przysłuchuje się rozmowom. Rozmawiają wszyscy równocześnie, kilkadziesiąt osób ściśniętych w małej sali; nad głowami krąży gwar, gwar i zaduch niedomytych ciał, kwaśnego piwa, dymu z najtańszych papierosów. Innych nie ma. Zresztą tylko inteligenci palą lepsze, perfumowane albańskie.

Od czasu do czasu bufetowa przekrzykuje gości:

- Pomidorowa raz! Trzy setki pod śledzika! - gwar cichnie na jeden moment, po czym znów robi się raźniej.

Raz po raz odchodzi od stołu ten czy ów i chwiejnym krokiem kieruje się do toalety.

Wejście zasłonięte jest ciężką, wiśniowego koloru kotarą, za którą stoi stolik, na stoliku leży talerzyk, na talerzyku błyszczą pięćdziesięciogroszowe monety. Pilnuje ich stara kobieta bez

twarży, za dodatkową złotówkę można kupić piętnaście centymetrów papieru toaletowego, ani kawałka więcej - zawsze wybuchają o to awantury. W środku wisi fetor. W kabinach zamykanych na drucziany skobel buzuje jarmark ohydy: ściany pełne dziur wielkości ludzkiego oka, malunki kopulujących ludzkich karykatur, gigantyczne chuje, pipy jak rozcięte skalpelem szczurzyce, brunatne arabeski i odciski upapranych palców. Za ścianą, skulony i zdenerwowany, czai się zazwyczaj człowiek, który oddaje się swej samotnej rozkoszy.”

Podszedłem do okna, iżby sprawdzić, czy wszystko jest na miejscu. Oparłem brzuch na parapecie. Jest. Postąłem chwilę. Popatrzyłem. Wróciłem do biurka. To się nazywa czerpanie natchnienia z otaczającej rzeczywistości.

„Tymczasem dzieci bawią się na zjeżdżalni. Matki - te, które nie mają odwagi wejść do baru - natrętnie krzyczą, że na wyszczerbionych, zadartych ręką wandalą krawędziach blachy chłopcy podrą spodnie. Spłoszone dzieci biegną do ponemieckiego schronu, w którym podobno zamurowano tajemną komnatę. Schronu nie zasypano - będzie potrzebny, gdy wybuchnie wojna z enerefem; komendant miejskiej obrony cywilnej, dyrektor liceum, zarządza niekiedy konserwację - gdy przychodzi nakaz z województwa. Robotnicy wprawiają wtenczas żelazne drzwi i zakładają wielkie, ciężkie, zajebiste kłódki, ale po pewnym czasie zawsze ktoś zdoła je roztrzaskać, albo wyrwać z betonu zawiasy.

- Jakiej potrzeba siły, żeby ruszyć te drzwi - dziwią się słabeusze.

W ziemię wkopane są blaszane rury, aby wietrzył się zygzakowaty kanał. Przez te rury dobywa się na powierzchnię odór stęchlizny i ludzkich fekaliów. Na ceglanych schodach prowadzących stromo do wejścia, trzy metry pod ziemią, wśród kępek mchu i trawy, chwastów przeciskających się pomiędzy cegłami, leżą kawałki potłuczonych butelek po wódce, przetłuszczona płachta szarego papieru po wędzonych szprotkach, pusta konserwa po mielonce, z różowym ryjem świni na obwolucie. Niekiedy, gdy tłok w barze i gwar nie pozwalają spokojnie napić się piwa, mężczyźni kładą na schodach stare gazety i siadają na nich w odświętnych spodniach, podciągając nogawki do połowy łydki, ażeby nie wypchać kolan.

Raz, późnym wieczorem, wpadł do schronu pijak - zabił się, mówiono, że na śmierć.

Nazajutrz przyjechali robotnicy i przez tydzień zakładali nad przepaścią stalową siatkę, splecioną jak płot, wspartą na czterech żelaznych szynach. Taką siatkę trudno zdobyć - znikła wkrótce, a śmierć tamtego człowieka wryła się głęboko w pamięć mieszkańców, od uderzenia wypadło z czaszki oko.

Czasem w szybie jednego z czteropiętrowych bloków ustawionych wokół pawilonu, schronu, zjeżdżalni i placu budowy, błysnie słońce - otwiera się okno, pojawia się poduszka, a nad nią wpatrzona przed siebie głowa. Przez okna wyglądają wszyscy: kobiety, mężczyźni, dzieci, psy i koty; szczególnie w niedzielę łączy ich nieme oglądanie przybywających zewsząd gapiów, którzy zachowują się tak, jakby nigdy nie widzieli budującego się wieżowca. Sąsiadki szeptaają, że to przechodzi ludzkie pojęcie, że to jest zgaga, chandra i chamstwo, co ci wsiarze wyrabiają.

- Nasi to jeszcze pół biedy, ale żeby zwozić ludzi autobusami? Dlaczego nikt tego nie zabroni? Gdzie jest władza? Dlaczego nie chapnie ich milicja? Piją tylko i szcżą po klatkach, że przejść nie można od smrodu.”

Podszedłem do okna. Postąłem chwilę. Popatrzyłem na świat jak na martwą naturę, na plener, jak gdybym malował pejzaż, a nie pisał wypracowanie dla Pliszki.

- Owsiki masz czy co? - skrzywiła się matka. - Nie możesz usiedzieć na tyłku?

Usiadłem.

„Tylko z niektórych okien widać schody do schronu - nieliczni mogą zobaczyć, co dzieje się na dole. Inni muszą wyjść z domu, zabrać psa na spacer, przejść się po krawędzi nad przepaścią, żeby zobaczyć pijących. Dzieci robią to odważnie, nie bojąc się, że spadną. Trzymają tylko mocniej i krócej niż zazwyczaj psa na smyczy. Dorośli są ostrożniejsi, zatrzymują się pół kroku od brzegu i wolno, uważnie wychylają głowy, po czym cofają je i znów wychylają, cofają i wychylają. Gdy intruzów zbiera się zbyt wielu lub gdy zaglądną zbyt często, z dołu dobiega ryk najohydniejszych słów. Dzieci natychmiast w popłochu uciekają, czasem polecą za nimi kamień; dorośli odpowiadają równie wulgarnym stekiem przekleństw, że aż wędzną uszy. Czasem przyjedzie milicyjny fiat, lecz nie ma zakazu, nie ma podstaw prawnych - nikt się nie bije, nikt nie obala socjalizmu.”

Piszę prawdę. Matka mówi, że prawdomówność to największa zaleta człowieka, zwłaszcza dziecka. Ciekawe, co powie profesor Pliszka? Pewno, że mam niewyparzone usta. Zawsze tak mówi. Ale tym razem padnie jak długa na środku klasy i będzie kwiczeć ze złości.

- Na dole coś się dzieje! - powiedziała matka. Podeszedłem do okna. Rzeczywiście, wokół schronu zbierało się zbiegowisko. Coś działo się na dole. Ludzie, zwabieni tumultem i podnieceniem, lecieli ze wszystkich stron, nawoływali jeden drugiego, a dobiegłszy pochylali się nad przepaścią i pchali się na siebie. W dole leżeli na betonie półnaczy kobieta i mężczyzna.

- Ruchają się! - rozległ się krzyk jakiegoś mężczyzny.

- Zakleszczyli się jak psy! Ona ma szczękocisk!

- Te, uważaj, żeby ci nie użarła!

Mężczyzna próbował się podnieść, lecz musiał być mocno pijany, bo za każdym razem przewracał się na ciało kobiety. Ona tymczasem, widocznie nie zdając sobie sprawy z obecności tłumu, szarpała go za szyję i wołała:

- Kazik, chodź!

Miała wywleczoną pod szyję bluzkę i zrolowaną na brzuchu spódnice, a on miał skrzepowane spodniami nogi u stóp.

- To jest głupia Zocha, a ten Kazik to ma babę. Lećta powiedziec jego babie!

- Zocha daje każdemu!

- Naprawdę?

Kazik poderwał się nagle i znikł w ciemnej jamie schronu. Po chwili oprzytomniała także kobieta, bo zerwawszy się na nogi, w popłochu podążyła za mężczyzną. Ludzie kręcili nosami, psioczyli, lecz z wolna poczęli się rozchodzić i milkły głosy. A potem znów nic się nie działo.

- Słyszała mamusia tych ludzi w schronie? - odwróciłem głowę poprzez ramię.

- Wsiarże zasiedlają miasto. Do czego to doszło? - powiedziała, niby do siebie, niby do mnie.

- Do czego doszło? - spytałem. Odłożyła książkę na bok i odrzekła:

- Zrozumiesz, synku, gdy urośniesz.

Zagulgotałem jak indyk. Chciałem zaprotestować! Po pierwsze, nie jestem dzieckiem, a po

drugie, nawet jeśli czegoś nie rozumiem, to należą mi się słowa wyjaśnienia! To właśnie pragnąłem powiedzieć, ale zagryzłem tylko wargi, gdyż najpewniej nakrzyczałyby na mnie - za to i przy okazji za wszystko. Zwykle w takich razach zamyka mi twarz jednym zdaniem: „Dzieci i ryby nie mają głosu!” Dlatego zdusiłem gulgotanie w sobie i tylko poszło mi na nerwy, że myślałem, że stanę na głowie i zacznę kłapać uszami. Ale nie stanąłem, gdyż w naszym domu dzieci, czyli ja, bo Basia się nie zalicza, nie mają prawa się denerwować. Zresztą tak naprawdę dzieci się nie denerwują, tylko złością. Denerwować to się może tylko matka, bo ma takie dzieci, czyli mnie, albo co najwyżej ojciec, bo zajmuje wysokie stanowisko. Dzieci mają milczeć i słuchać, i koniec. Więc milczałem.

Filowałem jeszcze dobre pół godziny, ale Kazik nie pokazał się. Ze schronu prowadzi drugie wyjście, niewidoczne z mojego pokoju ani z małego okna w łazience, przez które wyglądanie jest uciążliwsze, bo trzeba stać na krawędziach wanny i łatwo spaść; musieli oboje czmychnąć tym drugim wyjściem. Zrezygnowany, odsunąłem się od okna. Zresztą bolały mnie już łokcie; matka nie pozwala kłaść poduszki na parapecie.

Poszedłem do kuchni. Tej niedzieli jakoś wybitnie nie ma co robić. W telewizji albo koncert fortepianowy transmitowany z Łazienek, albo coś gorszego, a tak w ogóle to flaki z olejem. Ponadto nasz telewizor coś ostatnio mocno śnieży. Na pewno któryś z sąsiadów przesuwa nam antenę na dachu. Oczywiście z zemsty. Z zemsty za to, że ojciec ma wysokie stanowisko. Ludzie ojcu zazdroszczą. A matce jeszcze bardziej. I mnie, i Basi pewno też, choć ona u nas jak czarna owca. Wypięła się na wszystkich. Chodzi z chłopakiem z robotniczej rodziny, jakby już nie miała wstydu. Spotkałem go parę razy. Faktycznie, już samo imię mówi wszystko: Franciszek. Gdy Basia przyprowadziła go do domu pierwszy raz, przed południem, kiedy matka i ojciec byli w pracy, dał mi pięć złotych i pogłaskał po włosach. Nienawidzę, jak ludzie elektryzują mi włosy, ale pięć złotych wziąłem, kto by nie wziął? Po południu pochwaliłem się matce.

- Oddasz te pieniądze, ale to w podskokach! I nie waż się przyjmować od tego chłystka żadnych prezentów! - krzyczała na mnie i na całe mieszkanie. Bałem się, że ściągnie na nas sąsiadów. Szklanka, przystawiona denkiem do ucha i odwrotną stroną do ściany, działa jak głośnik. Słyszać nie tylko poszczególne słowa, ale całe rozmowy. Sąsiedzi rozniosą plotki! Ludzie wezmą nas na języki! Chciałem zwrócić matce uwagę, lecz spuściłem tylko uszy po sobie i stałem, czekając, aż minie jej zdenerwowanie. Myślałem, jak ją ocyganić. Powiem, że pieniądze już wydałem. Ale na co? Na pewno każe pokazać, co kupiłem. W pośpiechu szukałem w pamięci, co ostatnio kupiłem, a o czym matka jeszcze nie wie. Kupiłem kondoma za złoty pięćdziesiąt, ale przecież nie mogę się przyznać. Kupiłem żołnierzyki, ale gdy jej powiem, nakrzyczy na mnie, że w moim wieku żołnierzyki są już niestosowne. Wreszcie, gdy zamilkła, skłamałem:

- Byłem z Tomkiem na oranżadzie! Wszystko wydałem, to była moja kolej.

- Ile wydałeś? Wszystko roztrwonileś? Ile kosztuje oranżada?

- Złoty sześćdziesiąt - liczyłem w pamięci: złoty sześćdziesiąt razy dwa... - Ale Tomek nie chciał oranżady, kupiłem mu mandarynkę za dwa dziesięć!

- To razem trzy siedemdziesiąt. A gdzie reszta?

- Za resztę kupiłem dziesięć deko krówek.

- Nie kłam! Proszę cię, nie kłam! Dziesięć deko krówek nie kosztuje złoty trzydzieści!

Pytam, co kupiłeś za resztę? - przenikliwie parzyła mnie wzrokiem jak żelazem z pieca martenowskiego w Nowej Hucie. Mimo to odetchnąłem. Uwierzyła. Połowa zwycięstwa. -

Ja czekam! Proszę się natychmiast wytłumaczyć! Dwakroć!

- Przysięgam, że kupiłem krówki... Nie wiem, może dostałem mniej albo więcej. Niech mamusia sprawdzi w peesiesie! - Wiedziałem, że nie sprawdzi. - Niech mamusia zatelefonuje do mamy Tomka! Albo najlepiej mamusia idzie na górę i się spyta!

- Nie waż się unosić głosu! Matka to nie koleżanka z piaskownicy! Matce należy jest szacunek... A co do tych pięciu złotych... - podeszła do kredensu, na którym leżała jej torebka - co do tych pięciu złotych, oddasz je natychmiast! - wyjęła monetę z sakiewki. - I powiesz temu chłystkowi, żeby przyszedł się wytłumaczyć. W normalnych godzinach, kiedy matka dorastającej córki jest w domu! Dwakroć!

Chciałem nadmienić, że Basia ma prawie dwadzieścia jeden lat, ale nie nadmieniłem, bo pewno by się dalej piekliła. Wziąłem pieniądze, lecz nie wiedziałem, dokąd się udać, bo adresu Franciszka nie znałem. To właśnie powiedziałem matce. Nie była zaskoczona.

Podawała mi adres w kamienicach na Dworcowej.

- Jego ojciec jest zwykłym magazynierem u tatusia! Co za wstyd! Co za straszny wstyd! W mojej rodzinie takie rzeczy byłyby nie do pomyślenia.

Wyszedłem z domu, lecz tego dnia nie zwróciłem pieniędzy. Ani następnego. Ani nigdy. Natomiast życzenie matki przekazałem Franciszkowi, gdy przyszedł do naszego domu następnym razem, rzecz jasna, przed południem. Wysłuchał mnie spokojnie i powiedział: - Powiedz mamusi, że bardzo chętnie się spotkam, ale poproś ją, żeby to ona przyszła do mnie. Tak będzie lepiej.

Słowa Franciszka przekazałem tego popołudnia. Matka długo krzyczała na całe mieszkanie, jak śmiałem wypowiedzieć takie rzeczy! Toczka w toczkę wrodziłem się w tatusia, mam jego wstrętny, złośliwy charakter i jeśli dalej będę się tak rozwijać, to skończę w kryminale. Słuchając myślałem o szklankach, a potem zamknąłem się na resztę dnia w moim pokoju i udawałem, że odrabiam lekcje, choć naprawdę odrysowywałem na kalce technicznej gołe babeczki.

Matka zajrzała dopiero wieczorem.

- Nie zjesz kolacji? Pani Nowicka załatwiła świeżą podhalańską, tę, którą najbardziej lubisz. Wymówiłem się brakiem apetytu i bólem żołądka. Chciała podać mi krople miętowe. Wymówiłem się także od kropli. Dała mi więc spokój.

Podszedłem do kuchennego okna. Widok prawie taki sam jak z mojego pokoju: świat przesunięty raptem o kilka metrów, choć lepiej widać wejście do schronu. Ten efekt przesunięcia nazywa się jakoś w optyce, ale zapomniałem. Chyba paralaksa. Wystarczy przymykać najpierw jedno, potem drugie oko. Gdy robić to szybko, wejście do schronu skacze jak na ośmiomilimetrowym filmie w projektorze ojca. Albo jak w mojej smienie: obiektyw widzi co innego, a wizjer dla oka co innego. Lustrzanka ojca nie ma tego efektu, bo na świat patrzy się prosto przez obiektyw, za pomocą luster, stąd nazwa.

Odszedłem od okna. Ten Kazik chyba naprawdę wyszedł drugim końcem. Ta jego Zocha miała wyjątkowo grube uda. Ciekawe, czy rzeczywiście daje wszystkim? Bez względu na wiek? Do połowy szczupła i nawet całkiem całkiem na twarzy, choć zaprawiona, tylko że te uda i ten tył jak betoniarka. Dorota i Beata, te to mają pupcie ze hej.

Poszedłem do pokoju stołowego. Z okna widać podłużny parterowy dom. Nikt nie wie, dlaczego ten barak znajduje się w tak niefortunnym miejscu. Tu nowoczesne osiedle, czteropiętrowce, niebawem stanie wieżowiec, a tu masz, jakiś szpetny barak. Ludzie powiadają, że na pewno Kozakiewicz dał komuś za pozwolenie dolary, które przywiózł z Ameryki. Być może jest w tym ziarno prawdy, zwłaszcza że materiałówka, hydraulika, kafelki pochodzą z Pewexu albo z Ameryki. Z Pewexu pochodzą również żona Kozakiewicza i córki, ubrane jak modelki z Burdy. W ogóle barak, choć niski, wywyższa się ponad osiedle: świeżo otynkowany, różowy i nie ma grzyba.

Oparłem się o parapet, lecz nic nie było widać. W oknach dziewcząt odbijało się niebo. Ile godzin przesiedziałem tak z Tomaszem, on na górze, ja w stołowym, ile wieczorów, ile nocy... Nasze okna łączy drut telefoniczny, przytwierdzony na obu końcach śrubkami do pulpitów. Możemy rozmawiać za darmo. I gapić się za darmo.

Od samego początku Tomaszowi bardziej podobała się Dorota, z którą zresztą chodzi do klasy. Niewysoka, dość chuda, lecz zgrabna, pewexowskie dżinsy opinają się na jej wdzięcznych kształtach. Buzię ma urodziwą, kasztanowe włosy ufrizonowane na Aniolki Charliego, ledwie widoczny seksowny meszek nad ustami. Co prawda i mnie Dorota bardziej odpowiadała, lecz by zapobiec niepotrzebnym konfliktom, zdecydowałem się na Beatę. Beata jest równie śliczna, lecz brakuje jej klasy siostry. Ponadto jest od nas starsza, jakaś wyniosła, nieprzystępna, zadufana w sobie, no i wybrała sobie Czarka z technikum samochodowego.

Nigdy nie lubiliśmy Czarka. Czarek nie poszedł do liceum. A kto nie uczy się w liceum, ten jest zwykle zero, narybek do łopaty, zadatek na magazyniera czy kierowcę dostawczaka. Zresztą Czarek od dziecka mieszkał w czynszowych kamienicach. Jego matka jest sklepową w obuwniczym, a ojciec intendentem w Państwowej Wylegarni Drobiu imienia Waryńskiego. Dla Tomasza, którego matka wcale nie musi pracować, bo ojciec jest kierownikiem transportu w zetpezetach, tacy jak Czarek się nie liczą. Moi rodzice także zajmują kierownicze stanowiska: matka jest kierowniczką sekretariatu w erkaesie, a ojciec kierownikiem działu kadr i spraw socjalnych w pewude, pełniąc jednocześnie funkcję pierwszego sekretarza peope.

Tomasz zawsze rozumiał moją krzywdę, może trochę wdzięczny, że odstąpiłem mu Dorotę. Pewnego wieczoru, gdy jak zawsze klęczeliśmy przy oknach ze słuchawkami na uszach i mikrofonami wokół policzków, wywiązała się rozmowa. Tak mniej więcej wszystko się zaczęło:

- Siedzimy tutaj jak w kinie, nie uważasz? - powiedział Tomasz.
- No tak, siedzimy. Klęczymy raczej - szepnąłem, nie odrywając wzroku od Beaty. - Zobacz, wstała. Będzie się rozbierać.
- Czekaj, ja poważnie. Przyszło mi coś do głowy z tym kinem. Bolać cię oczy od wytrzeszczania?
- Czasami bolać. Bo co?
- No właśnie, mnie też bolać. Potrzebna nam luneta, noktowizor jakiś, teleobiektyw. Kapujesz?
- Chcesz robić zdjęcia?
- W najlepszych pozach. Można by pokazać je Czarkowi.
- Ty, rozbiera się!

Zamilkliśmy na dłuższą chwilę. Beata, stojąc pośrodku pokoju, dokładnie pod abazurem u

sufitu, zdjęła bluzkę i zaczęła wyciskać wągrzy na ramieniu. Próbowałem dostrzec, czy jej biały stanik jest przezroczysty, z koronki czy bawełniany. Dorota w sąsiednim pokoju czytała książkę na wersalce. Leżała nieruchoma już od pół godziny. Dochodziła dwudziesta druga. Czas wreszcie spać, Dorotko!

- Jesteś tam? - odezwał się Tomasz.

- Jestem. Dużo ma tych wągrów, co?

- Cierpliwości. Rozbierze się cała. Ale wracając do fotografii, można by Czarka załatwić na amen. Dziewczyna na golasa, kapujesz?

- Zwariowałaś? Stracimy kino.

- Nie stracimy. Najpierw pokażemy Czarkowi, a gdy się wścieknie i ją rzuci, będziesz miał wolną drogę. Przy okazji będzie szantażyk na wypadek, gdyby chciały zasłonić okna.

Kapujesz? Można zrobić setki odbitek i rozdawać w szkole. Będą nam obie robić pokazy, a może lizaka.

- Rozbieranie się w własnym pokoju to żadna zdrada.

- Rusz głową. Rozbieranie się we dwoje to już coś, nie uważasz?

- Co masz na myśli?

- Ciebie, palancie! Wyobraź sobie, że oboje stoicie na Adama i Ewę. Jest dowód zdrady?

- Fotomontaż?

- Otóż to, otóż to. Wystrychniemy go na dudka!

- Można spróbować. Jak się nie uda - trudno.

- Zgadzasz się pozować?

Beata skończyła wyciskanie wągrów i przebrawszy się w piżamę zgasła światło. Piersi było jej widać może dziesięć sekund, pupę tyle samo, ale tylko z boku.

- Można spróbować.

- Graba - zaśmiał się Tomasz.

Po jakimś czasie podniosła się Dorota i dała dwuminutowy pokaz, po czym zgasła światło. Niepyszni rozłączyliśmy telefon i poszliśmy spać.

Odszedłem od okna. Usiadłem na wersalce. Dłuższy czas obserwowałem bzykające się na ścianie muchy. Brał ją od tyłu. Zastanowiłem się, czy muchy mogłyby bzykać się „na człowieka”, to znaczy ona na plecach, a on na niej. Ludzie bzykają się „na konika”, „na pieska”. Dlaczego nie muchy? Potem pomyślałem, co by im było widać pod mikroskopem? Musi mieć cienkiego jak włos. A ona? Czy niektóre muchy są brzydkie, a inne ładne? Po paru chwilach odleciały jedna na drugiej, tłukąc się nawzajem skrzydełkami. Ale coś im z tym lotem w duecie nie poszło, bo nagle zabrzęczały jak na alarm i runęły w dół, i pacnęły o stół. Zawirowało na stole jak na karuzeli. Najwyraźniej chciała go zrzucić, lecz trzymał się mocno. Nie dał się strząsnąć. Szarpali się dość długo, po czym poddała się i znów bzykał ją jak dziki.

Dobrze, że matka tego nie widzi. Mucha na stole to jej śmierć! To znaczy matki, nie muchy. I do tego w tak obrzydliwej pozycji. Matka ma obsesję na punkcie much i moralności. Wiele razy budziły mnie jej krzyki w środku nocy:

- Muchy to moja śmierć!

Po czym rozlegały się trzaski gazety na ścianie i znowu krzyki:

- Ja was pozabijam! Wbijacie mi ostatni gwóźdź do trumny! Zenek, obudź się, na litość Boską! - krzyczała do ojca. - Czy one po tobie naprawdę nie chodzą?

Raz trzasnęła gazetą w wazon z kwiatami. Rozległ się huk, a potem wrzask:

- Tego ci nie daruję!

Podniosłem się z wersalki. Poszedłem do kuchni. W kuchni nie było nic do picia, tylko woda w kranie, ale wody z kranu nie da się pić. Otworzyłem drzwi na dole szafy, przeraźliwie zapiszczały zawiasy. Zdrętwiałem nasłuchując. Ostrożnie wyjąłem słoik ze śliwkami, uważając, aby nie trącić sąsiednich. Nie trąciłem. Bezszelestnie odkręciłem wieko, lecz zasyczało powietrze. Psss... Cisza. Zamarłem. Czekałem chwilę, po czym upiłem parę łyków soku i podszedłem do kranu, by dolać wody do pełna. Zawahałem się jednak. Stałem chwilę myśląc i jednocześnie nasłuchując. Upiłem więcej. Zawahałem się raz jeszcze. Upiłem więcej i cichutko, kierując strumień wody na ściankę, dopełniłem słoik, a następnie umieściłem go w szafie tak, jak stał uprzednio. Napity wróciłem do stołowego. Much nie było. Usiadłem na wersalce.

W ciągu następnych dni zdobyliśmy rolki filmu ORWO, bo na fotonie dobre zdjęcia, zwłaszcza z teleobiektywu, nie udadzą się. Byliśmy gotowi. Jednak jak na złość Kozakiewiczowie znikli niespodziewanie, dziewcząt nie było też w szkole. Poszliśmy na przespługi do starej Szablewskiej z parteru, która wie wszystko.

- Pani Szablewska, Amerykanów nie ma? - zapytał Tomasz zapuszczając szyję za próg mieszkania, lecz zaraz się cofnął, bo ze środka buchnął smród gotowanej nafty. Szablewska zawsze gotuje naftę, twierdząc, że pomaga jej na wszystko, ale tylko prawie wrzątek.

- Nie ma. Pojechali do rodziny na wieś. A coś taki cie-ciekawski? - czknęła i słychać było cichutkie syknięcie w ustach. Skrzywiłem twarz w grymasie bólu. - A paniczyk co tak się krzywi? Toć nie denaturat.

- A nie wie Szablewska, kiedy wrócą? - Tomasz przybrał nieco znudzoną minę.

- Puste walizki zabrali, to pojechali na krótko, po wałówkę. Dwa-trzy dni najdłużej. A co masz za interes?

- Mama kazała - skłamał Tomasz.

- Wejdźcie - Szablewska ustąpiła miejsca w przejściu. - Mam pączki od Lewandowskiego. Zjecie?

Pączki Szablewska kupuje raz w miesiącu, ostatniego, gdy listonosz przynosi jej rentę po mężu. Dwadzieścia naraz, gdyż tak lubi kupować. Pierwszego, drugiego i trzeciego dnia pączki nadają się do jedzenia, czwartego są twarde jak suchary, ale piątego znów miękkie, bo macza je w wodzie i dla dodania słodczy turla w cukrze, ale oszczędnie, bo cukier na kartki.

- Wchodźcie albo nie, bo przeciąg.

Weszliśmy. Szablewska lubi rozmawiać, więc zaprasza na gadulstwo kogo się da, nawet takich młokosów jak my, co w wojsku nie byli. Siada w obszernym jak tron, drewnianym fotelu i rozmawiając zerka w lustro po całym domu. Ma tych luster dwie jakby niezależne konstelacje. Jedna, osobista, pozwala jej patrzeć na siebie en face, z profilu, półprofilu, z lewa i z prawa, nie ruszając się z miejsca. Druga, ogólnoużyteczna, odzwierciedla to, co dzieje się w drugim pokoju, przedpokoju i kuchni, a także, dzięki autobusowemu lustru przykręconemu od zewnątrz do ramy okiennej, kto wchodzi na klatkę.

To lustro zainstalował jeszcze Szablewski, kiedy żył, po tym jak mu pijani powybijali szyby od frontu. A powybijali mu w zemście. To byli kierowcy i mechanicy z pekaesów, którzy po pracy upatrzyli sobie miejsce na libacje akurat pod oknem kuchni. Przychodzili zaraz po piętnastej i do późnego wieczora pili wino i wódkę, przeklinali socjalizm i kierownika, starszego syna Szablewskiego, kłócili się i czasem bili. Ale Szablewskiego najbardziej złościło to, że szczali na tynk i robili kupeę, gdzie popadło. Stary najpierw krzyczał, że zawoła milicję, ale nikt nie bał się ani starego, ani milicji. Toteż któregoś razu nie wytrzymał, wziął wiadro i przez tydzień zbierał w nim swoje i żony fekalia, a gdy wiadro

się zapełniło, chlusnął nim przez okno, trafiając niejednego. Poskutkowało, ale szyby się nie ostały, co Szablewskiego kosztowało prawie pół renty. Syn potem robił dochodzenie w pekaesach, ale winnych nie znalazł i tylko przeleciał się podejrzanym po premii. Szablewska często ten incydent wspomina i wspominając bardzo się złości, w ogóle bywa dość nerwowa, a że jednocześnie cierpi na nadciśnienie tętnicze i boi się śmierci, dwa razy dziennie pije naftę.

- Weź sobie pączka - spojrzała na mnie. Pokręciłem głową, że nie. - Jak nie chcecie pączków, to może napijecie się kawusi? - zaproponowała, jak gdyby bała się, że szybko uciekniemy. Słowo „kawusia” ma w jej ustach brzydką konotację - wszyscy na osiedlu wiedzą, że Szablewska zaparza kawę dwukrotnie, susząc bryłki na talerzyku i rozbijając młotkiem.

- Wolę herbatę, ale niech pani nie wstaje, sam zaparzę - powiedziałem, nie ruszając się jednak z miejsca.

- Jak uważasz.

- A ci Amerykanie to psa zabrali? - zagadnął Tomasz, znów udając znudzenie.

- Gdzie tam, skaranie Boskie z tym kundlem.

- To karmi go pani?

- Gehenna! W tym cały szkopuł.

- To może my go będziemy karmić, siku trzeba go wypuścić, kaku, niech sobie pobiega stworzenie.

Spojrzała uważnie najpierw na Tomasza, potem na mnie, po czym powiedziała:

- A bo ja wiem, czy wam wierzyć? Może co skradniecie i na mnie będzie, że nie dopilnowałam. Zarobek tylko stracę, i tyle.

- Co pani, pani Szablewska, my tak z serca dla pani i dla pieska - przekonywał Tomasz, robiąc przy tym minę dziecka.

- Po prawdzie to inteligentkie chłopaki jesteście, z dobrych domów... - myślała chwilę, po czym dokończyła: - No dobrze, ale klucza na krok nie odstępujcie. Nikomu.

- Nikomu! Niech się pani nie martwi.

Wyszliśmy z kluczem i tego wieczoru Tomasz usadowił się z teleobiektywem na statywie w oknie swojego pokoju, podczas gdy ja zakradłem się do baraku. Nastraszyło mnie naszczekiwanie psa, ale go ugłaskałem, po czym rozebrałem się do naga, naskakiwał mi na nogę i chciał wylizać, i przez kilkanaście minut ustawiałem się w pokojach dziewcząt w przeróżnych pozach, aż wreszcie ubrałem się, pogasiłem światła i poszedłem do domu.

Nazajutrz z rana wziąłem psa na spacer do sadów, dokąd z psami chodzą wszyscy.

Spuściłem go ze smyczy i odpalając się ekstramocnym bez filtra patrzyłem zza drzewa, jak lata za nim suka Nowickiej z drugiego piętra, kobiety wyższej od mojego ojca. Nowicka też się odpalała i też patrzyła to na sukę, to na psa Amerykanów, to na inne psy i suki, które latały koło drzew. Ich właściciele albo się odpalali, albo zbierali się w pary i dyskutowali, albo też jedno i drugie. Nic się nie działo, tylko psy latały i latały.

Podszedł do mnie Rymarski, ukryłem papierosa w kieszeni. Stał chwilę w milczeniu, po czym powiedział, jakby filozoficznie, w zamyśleniu:

- Wczoraj było czternaście, to gdzie te dwa?

Nie zdążyłem odpowiedzieć, gdy nagle zakrzyknęła Nowicka:

- Wara! Wara!

Spojrzałem w stronę Wary, a ta jakby nigdy nic podstawiała się pod Amerykana, łaśliła się i tylko jej z radości dyndał język. Niewiele myśląc Amerykan na nią. A Nowicka na cały głos:

- Wara do nogi!

Wara odwróciła łeb i popatrzyła, co jej robi Amerykan. A temu już wystawał. Wara nagle uskoczyła. Amerykan za nią. Ta z kłami. Ten w bok i z boku na nią. Wtem Nowicka:

- Wara mi od Wary! Ty kundlu zajebany! - W te pędy skoczyła do Amerykana, a że była wyższa, powaliła go w trawę i ujadła w szyję. Amerykan zdiczał, zawył, wymknął się i wbił się Warze w futro, aż zawyla. Podbiegła Nowicka i sięgnęła po drag, który leżał w trawie, i z całych sił zaczęła walić Amerykana.

- Pani Nowicka! Co też pani robi? - krzyknął Rymarski. - Pani psa zabije! Pani się opamięta!

Podbiegłem do niej i za drag złapałem, krzycząc:

- Szablewską zabijają Amerykanie, jak Nowicka się nie opamięta!

Opamiętała się jednak. Uwiązała Warę, chwilę z nią rozmawiała dając srogą burę, po czym poszły do domu. I ja złapałem Amerykana, i ruszyliśmy w stronę osiedla. Na koniec usłyszałem, jak Rymarski spytał sam siebie:

- Dlaczego te psy są takie wściekłe?

Tego dnia po szkole zamknęliśmy się w ciemni w mojej piwnicy i wywołaliśmy zdjęcia. Były słabe, niedoświetlone, ale warunki spełniały: dało się rozpoznać twarz i wszystko, zwłaszcza w tych ujęciach, które Tomasz zrobił bez mojej wiedzy z podwórza, parę kroków od szyby. Należało teraz czekać na Kozakiewiczów...

Rozległ się dzwonek przy drzwiach. Wstałem z wersalki i poszedłem otworzyć. Na progu stała Nowicka.

- Mamusia jest?

- Pani Nowicka do mamusi! - krzyknąłem i wycofałem się. Matka wyszła z mojego pokoju i zaczęła się śmiać. Jest to jej sposób witania gości. Zawsze tak się śmieje.

- Proszę do środka, pani Nowicka. Proszę tutaj, do stołowego. W małym pokoju Michałek odrabia lekcje, nie będziemy mu przeszkadzały. - Rzuciła mi jedno z naszych rodzinnych spojrzeń. Wszedłem do mojego pokoju i przymknąłem drzwi, podpierając je stopą.

- Pani nie uwierzy! - powiedziała rozradowana Nowicka; jej głos cichł oddalając się w głąb stołowego, po czym zatrzymał się gdzieś między stołem a wersalką. - Pani popatrzy... - nastąpiła dłuższa chwila ciszy. - Pani widzi? - znów nastąpiła pauza, po czym rozległ się głos matki:

- Jezu, pomarańcze!

- Kubańskie!

- Nie może być!

- Strzyżewska załatwiła. Przywieźli dziś rano do garnizonowego!

- To naprawdę dla mnie?

- Tak, dla pani, proszę!

- Obie?

- Obie. Proszę się nie krępować.

- Nie wiem, jak dziękować... Taka niespodzianka... Pani Nowicka, panią tylko ozłocić.

Michałek tak lubi pomarańcze, tak będzie się cieszył... Michałku, zobacz!

Poderwałem się i skoczyłem do biurka, otwierając jakiś zeszyt na jakiejś stronie. Matka stanęła w progu, potrząsając pomarańczami w obu dłoniach. Śmiała się szeroko.

Rzeczywiście, bardzo lubię pomarańcze. Ojciec załatwił cztery na Boże Narodzenie, po połówce na łebka na święta i po połówce na Sylwestra. Ja zjadłem dwie, bo

przehandlowałem z Basią za rodzinę. Nie zgodziła się tylko na skórę - skórę musiałem jej oddać na maseczkę do twarzy. Ale potem matka i tak kazała zebrać wszystkie skóry na babkę z bakaliami. Basia też oddała i do dzisiaj dopomina się ode mnie ćwiartki pomarańczy. Nie oddam jej, co się stało, to się nie odstanie. A te rodzinę to przywiózł ojciec z energowca na ciasto, znalazłem je w koszu na ziemniaki pod zlewem i trochę usypałem, i żeby nie było poznać po paczce, nadmuchałem powietrza wylotem z odkurzacza.

- Pani Nowicka załatwiła od pani Strzyżewskiej. Dziś rano przywieźli do garnizonowego - powiedziała matka.

- Zjemy? - puściłem do niej oko.

- Zastanowimy się później, a teraz wracaj do lekcji.

Wyszła. Wróciłem na próg, przymykając drzwi.

- Doprawdy nie wiem, jak dziękować - matka mówiła w stołowym. - Ile się należy, pani Nowicka?

- A tam, drobnostka. Załatwi pani kilo karkówki, to się wyrówna.

Wdały się w jakąś babską banalną pogawędkę, więc usiadłem przy biurku.

Kozakiewiczowie wrócili, jak zapowiedziała Szablewska, trzeciego dnia, wynosząc z trabanta pękate walizki, przepasane sznurkiem na okrągło. Pobliscy mieszkańcy zebrali się w grupkach i szemrali pod nosem:

- Pani wie, że oni pół bochenka chleba na cztery osoby i margarynę kupują? Nic dziwnego, że córki zagłodzili.

- Prawda. Dorobkiewiczze, psia ich mać!

- Pani widziała, jakie dzieci chude? A teraz kiełbasę przywieźli, pani myśli, że zjedzą? Na handel, na handel, psiakość, przywieźli! Mało im z Ameryki!

- Przyjdzie kryśka na matyska! Oj, przyjdzie!

Tego wieczoru poszedłem do Tomasza, żeby uczyć się na klasówkę, oczywiście większość czasu przegadaliśmy, a potem dziewczęta dały pokaz. Pierwsza Beata wyciskała węgry i widać znalazła jakieś na piersiach, bo zdjęła biustonosz. Smykaliśmy klatkę po klatce, odpychając się od statywu i wrywając z rąk aparat. W końcu zdjęła majtki i wypięła się do okna tak, że w teleobiektywie widać jej było włosy. Potem pokazała się Dorota, przebierając się w piżamę tak długo, jak gdyby wiedziała, że ją obserwujemy i tego chciała.

Odbitki nazajutrz okazały się całkiem udane. Przystąpiliśmy do fotomontażu, naświetlając papier z dwóch negatywów. Efekt był piorunujący. W najlepszych ujęciach wyglądało na to, że tańczą raz z jedną, raz z drugą, że wyciągają po mnie ręce, a ja po nie.

- Czarka krew zaleje - powiedziałem z satysfakcją.

- Muszę ją przelecieć - powiedział Tomasz, chowając do kieszeni kilka fotografii.

Byliśmy gotowi do wymierzenia kary Czarkowi. Jak zwykle przychodził prawie każdego popołudnia i wychodził wieczorem, lecz jakoś nie było okazji, by go zaczepić, choć może na koniec zabrakło nam po prostu odwagi.

W każdym razie minęło parę tygodni, zbliżały się święta Bożego Narodzenia i lada dzień miał przybyć ksiądz, a po nim organista z walizką opłatków. Na osiedlu wrzało. Wrzało dlatego, że ksiądz urządzał mieszkańcom hecę, powodując, że oprócz i tak już rozlicznych podziałów, na przykład na tych, co mieszkają na parterze, gdzie z piwnic bije odór wadliwej

kanalizacji, i na tych, co na piętrach, gdzie odór mniej bije; na umysłowych i fizycznych; partyjnych i bezpartyjnych; na tych, co samochód mają lub go nie mają, a wśród zmotoryzowanych także na tych, co mają malucha sześćsetpięćdziesiątkę i na tych, co zwykłą sześćsetkę - oprócz rozlicznych podziałów społeczeństwa „bezklasowego” wylaniał się jeszcze jeden: na tych, co księdza przyjmują i co się przed księdzem chowają.

Moi rodzice, z uwagi na partyjną funkcję ojca, księdza nie przyjmują. Ale z uwagi na sąsiadów nie wypada tak po prostu księdzu przed nosem zamknąć drzwi. Dlatego gdy zbliża się czas obchodu, ojciec nie wraca po pracy do domu, lecz czeka gdzieś u kolegów do późnego wieczora, czasem w knajpie. Matka i ja siedzimy w zupełnej ciemności, udając, że nikogo nie ma w domu, i nasłuchujemy, czy już idą po schodach. Ksiądz najpewniej dobrze o tym wie, bo jakby celowo każdego roku przychodzi o kilka dni przedwcześnie albo spóźniony, a czasem, gdy dosięga go fantazja, wraca na drugi dzień i mniej przewidujących zawstydzają naszymi dziećmi. Ale my nigdy nie daliśmy się nabić w butelkę.

Jednak tego roku bardziej niż księdza czekałem Czarka. Czarek był moim wrogiem. Czarka nienawidziłem, Czarkowi zazdrościłem, Czarka pragnąłem nauczyć rozumu. Moja złość sięgnęła zenitu, gdy pewnego wieczoru został on u Beaty na noc. Mało tego, wcześniej niż zwykle zgasło światło, więc z rozpaczą uznałem, że się bzykają. Rozboleła mnie serce i głowa, oczy przesłoniła mgła. Gdy się otrząsałem, postanowiłem niezwłocznie zadziałać, lecz cóż mogłem począć? Wybić szybę, aby im przerwać, aby nie zdradziła mnie ukochana! Co za podłość! Co za upokorzenie! Ogarnęło mnie przygnębienie.

Nazajutrz, zabrawszy plik fotografii oraz Tomasza dla ochrony, udałem się do mieszkania w kamienicy. Otworzyła matka.

- Jest Czarek?

Po chwili pojawił się w drzwiach.

- Ty, zostaw moją dziewczynę w spokoju! - wycodziłem bez wstępu. Spojrzał zaskoczony.

- O co ci chodzi? Zwariowałaś? - zachowywał się tak, jakby rzeczywiście nie wiedział, o co chodzi.

- Udaje głupiego - wtrącił Tomasz.

- Zostaw mi dziewczynę! - krzyknąłem i nie wiem dlaczego, poczułem w oczach łzy.

- Jaką dziewczynę? - wciąż nic nie rozumiał.

- Beatę! Ty sukinsynu!

- Wszystko w porządku, chłopcy? - na progu pojawiła się matka.

- Tak, w porządku - odpowiedział Czarek. Matka cofnęła się w głąb mieszkania. - Z Beatą chodzę od siedmiu miesięcy...

- To zobacz! - wyszarpnąłem z kieszeni fotografie.

Wziął je do ręki i zbladł, po czym wolno, miarowo zaróżowiła mu się twarz.

- Widzisz, krew go zalała - zauważył Tomasz.

Stał przekładając w palcach zdjęcia.

- Zdradzała mnie z tobą? - uniósł głowę i spojrzał niewidzącym wzrokiem. - Ja ją kocham.

- Ja też ją kocham.

- Obu was zdradzała - dodał Tomasz.

Tym razem zaszklily się oczy Czarka. Odwrócił się i uczynił pół kroku w kierunku mieszkania. Odebrałem mu zdjęcia. Po chwili zniknął w środku i zamknęły się drzwi.

Wiktoria! Euforia! Zbiegliśmy rażno po schodach.

Wieczorem przyszedł do Beaty. Siedzieliśmy z Tomaszem przy swoich oknach. Chodząc po pokoju gestykulował i krzyczał. Krzyczał tak głośno, że słowa dobiegały na zewnątrz i rozbijały się na szarych odrapanych murach bloków. W niektórych oknach pojawiły się głowy zaciekawionych. Wtem krzyki umilkły, po czym otwarły się drzwi i wyszedł. Stał chwilę nieruchomo, pewnie o czymś myślał, aż wreszcie odszedł.

- Masz go z głowy - rozległ się w słuchawkach głos Tomasza.

Chwilę potem wyszła przed barak Beata i spojrzała w moje okno. W pokoju, jak i w całym mieszkaniu, było ciemno, gdyż czekaliśmy księdza. Klęczałem na poduszce, tak że ponad parapetem wystawała mi ledwie głowa. Nie dostrzegła mnie. Ruszyła w kierunku klatki schodowej. Rozległo się echo kroków na stopniach i wkrótce dzwonek u drzwi. Byłem już w przedpokoju, gdzie stała też matka.

- Ksiądz! - szepnęła cichutko.

- Ksiądz! - powtórzyłem. - Niech mamusia się nie rusza, zaraz sobie pójdzie.

Dzwonek zadzwieczał jeszcze kilka razy, po czym rozległy się kroki w dół i wróciła cisza. Poszedłem do stołowego i ostrożnie wyjrzałem przez okno. Dziewczęta zaciągnęły story.

- Ale się porobiło - odezwał się Tomasz. - Straciliśmy kino.

- Mówiłem, że tak będzie!

Następnego dnia w baraku pojawił się milicjant. Chodził wokół parkanu, coś notował, zaglądał w moje okna, rozmawiał z Kozakiewiczem, znów notował. Beata stała z boku i płakała. Niebawem osiedle obiegła wieść, że z okna w czynszowej kamienicy rzucił się Czarek.

Podszedłem do okna. Nienawidzę niedziel. Zdarzają się takie dni, że nic się nie chce. Spać się nie chce, myśleć się nie chce, czytać się nie chce, żyć się nie chce. Ale niedziele są wyjątkowo do kitu. Matka w domu. Poszedłby człowiek do kina na amerykański film, popatrzył na normalny świat, nacieszył oko, pobyl wśród wesołych ludzi. Ale nie ma za co, a matka nie da, bo wiecznie jej na wszystko brakuje.

Odszedłem od okna. To nie moja wina, że wyskoczył! Nie moja! Nawet w gazetach piszą, że młodzież w szkołach ogarnia epidemia apatii. Mam ten wycinek! Mam niezbity dowód!

Wykułem na pamięć: „Nauczyciele sygnalizują! Charakterystyczne: to samo zjawisko młodzieży apatycznej, uciekającej od problemów społecznych w swoje jakieś wąskie konsumpcyjne, rozrywkowe zacisza, sygnalizowali nauczyciele w liceach francuskich. To samo zjawisko wielkiego uspokojenia, nawet apatii wystąpiło w szkołach amerykańskich, gdy wraz z końcem wojny wietnamskiej opadła fala wielkiego protestu społecznego. Po rocznikach czynnie angażujących się w życie społeczne przychodzą roczniki, które cechuje społeczny bezruch i odwrót od tego, co publiczne, do tego, co najściślej osobiste.”

Położyłem się na wersalce. Tamtego dnia milicjant przyszedł także do nas i do Tomasza. Chciał obejrzeć ciemnię, ale nie pozwoliła mu matka.

- Pan nie ma prawa oskarżać dziecka o rozpowszechnianie pornografii! - mówiła w progę, zasłaniając mnie sobą; zresztą wcale się nie sforowałem. - Michałek nie ma z tym nic wspólnego. Tu zaszła gruba pomyłka! To jest nadużycie władzy!

- Obywatelka się nie opiera, bo się rozmówimy inaczej!

- Nie wpuszczę pana i koniec! Pan przyjdzie, jak mąż będzie. Pan zna męża. Mąż jest kierownikiem działu...

- Władzy nie obchodzi, czym jest mąż obywatelki. Obywatelka ma nie stawiać oporu, jasne?

- Pan będzie tego gorzko żałował! Złożę skargę!

- Obywatelka władzę straszy!?! - milicjantowi z oczu strzeliły iskry. Zaciśnął palce na rękojeści białej pałki uwieszanej na pasie. Rękawy ortalionowej kurtki świeciły się wypolerowanym brudem. Jednak zamiast strachu w matkę wstąpiła szewska pasja.

- Pan się wypcha pakułami!

- Niesubordynacja! - ryknął.

- Ja dzwonię na milicję! Ja składam zażalenie! - krzyknęła i nim się połapał, zatrzasnęła mu drzwi przed samym daszkiem czapki i zarygłowała dwa patentowe zamki. Błyskawicznie rozległo się walenie pałki, którego łomot potęgowały echo na klatce i blacha, jaką ojciec nabił na drzwi od środka.

- Milicja Obywatelska! Otwierać! Zrozumiano?

Matka w mig była już przy telefonie i wykręciła 97. Nie miałem ani chwili do stracenia.

Pochwyliłem klucze od piwnicy i pobiegłem na balkon w stołowym. Nieraz już wychodziłem w ten sposób. Wystarczyło się uwiesić i skoczyć. Tak też uczyniłem. Po czym wczółgałem się nogami do przodu w okienko do piwnicy, przebiegłem korytarz i w pół minuty znalazłem się w naszej komórce. Spod szafki wysunąłem ukryte pudełko po butach, w którym trzymaliśmy negatywy i zdjęcia. Zacząłem przewracać w koszu na śmieci.

Szukałem niewykończonych albo nieudanych odbitek. Nie mogłem sobie z nimi poradzić.

Chwyliłem cały kosz, zamknąłem drzwi i tą samą drogą wydostałem się na zewnątrz. Co

tchu popędziłem do sadów. Stamtąd na wyładówkę kolejową, gdzie były wielkie kontenerowe śmietniki. Usiadłem na ziemi i ciężko oddychałem. Wokół ust kłębiła się para, pociemniało mi w oczach z wysiłku i od strachu. Szkoda mi było tych zdjęć, ale ryzyk fizyk, podniosłem się, wskoczyłem do środka i ukryłem pudełko w jednym rogu. Kosz opróżniłem w drugim. Śledztwo zakończy się fiaskiem!

Gdy spacerkiem wróciłem na osiedle, przed blokiem było zbiegowisko, a na trawniku przed klatką stały dwie milicyjne nysy.

- Co się stało? - zwrócił się do mnie jakiś mężczyzna, którego twarzy nie znałem, po czym sam sobie odpowiedział: - Podobno kogoś zabili w czynszówkach na Dzierżyńskiego.

Przyjechali tu aresztować jednego gościa z parteru, ale wyskoczył przez okno i też zabity.

Teraz zgarniają jego kochankę.

- Jak można się zabić skacząc z parteru? - warknąłem i wmieszałem się w tłum, aby dojść do klatki, lecz ludzie nie chcieli się usunąć.

- Było włamanie u Strzyżewskich! - powiedziała jedna pani.

- Obrobili do czysta!

- Niemożliwe! Do Strzyżewskich nikt by się nie włamał, psa mają. To na pewno u Podsiadłych.

- Może otruli?

- Rozmawiałam z Podsiadłową nie dalej jak przed minutką. To nie u niej.

- To u kogo?

- To nie było włamanie, moja kochana, to była zbrodnia!

- Ależ co pan mówi? Zbrodnia? Jaka zbrodnia?

- Są zabici. Ten chłopak, co przychodził do Amerykanów, i jakiś drugi.

- Pan nie mówi? Do Amerykanów?

- Do Amerykanów przychodził jakiś chłopak? A do której? Pewno do tej starszej.

- No widzi pan, do czego to doszło. Dziki Zachód, kurwa mać, z Polski robią! Takich to się powinno powywieszać, ale już!

Rozpychałem się łokciami i przecisnąłem się jakoś do klatki. Od razu nadziałem się na tego milicjanta.

- O, znalazła się zguba! - Jednym ruchem wykręcił mi rękę. - Chodź tutaj, chłopczyku, my sobie porozmawiamy. Mamusia cię już nie obroni! Mamusia idzie do pierdła! Za stawianie oporu funkcjonariuszowi Milicji Obywatelskiej na służbie!

Chciałem zawyć z bólu, ale nie zawyłem, bo zabrakło mi oddechu. Milicjant wyprowadził mnie z klatki i usiłował wepchnąć do nyski, ale interweniowali ludzie, a najgłośniej stara Szablewska, bo może trochę czuła się współwinna. Do samego pępka odpadły mi guziki od koszuli. Usłyszałem tylko szybkie trach i byłem półnagi. Zobaczyłem nad sobą niebo, potem czyjeś buty, jakiś pijany nachuchał mi w twarz, nie mogąc się podnieść. Lecz ten, co mnie wyprowadził, sierżant, był nieugięty, nie mógł matce darować tej poruty na klatce. Ten drugi, niższy wzrostem i stopniem, chyba plutonowy, o ile dobrze zauważyłem, ciągnął mnie za ręce do środka, a gdy już wciągnął, zatrzasnął drzwi i został ze mną, i pilnował. Ludzie o mały włos dotykali nosami szyby, patrząc. W każdym razie obciach, że nie do wytrzymania piekły mnie policzki. Jakiś facet krzyknął:

- Żądamy uwolnienia chłopca!

- Wolność dla chłopca! - zawtórowała stara Szablewska. – Precz z socjalizmem!

Lecz tłum pozostał niemy.

Potem przyszła kolej na matkę. Żał mi jej było, bo prowadziło ją trzech, i śmiali się z niej ludzie.

- Ty chłystku! - krzyczała. - Ty pyszałku!

Wsadzili ją do drugiego wozu, dąsała się jeszcze, denerwowała. I tak okryci wstydem, żegnani wesołością, na ludzkich językach na całe miasto, odjechaliśmy na komendę MO.

Wstałem z wersalki i włączyłem telewizorek turystyczny. Akurat leciało „Piórkiem i węglem”. Co za głupi tytuł. Jak już nie mają czego puścić, puszczają „Piórkiem i węglem”. Profesor Ził coś rysuje. Zin, nie Ził, zawsze mi się płacze. Ładnie rysuje, tylko że przynudza. Gdybym tak umiał rysować, rysowałbym babeczki bez kalki.

- Proszę natychmiast wyłączyć telewizor! - krzyknęła matka ze stołowego. - Odrobiłeś lekcje?

- Pani Michałek to taki pilny uczeń, nie to, co ten mój urwis - powiedziała Nowicka.

- Michałek to nasza chluba, chwała i przyszłość, ale wie pani, pani Nowicka, pańskie oko konia tuczy.

Wyłączyłem telewizor.

- Michałku, postąpiłeś roztropnie! - krzyknęła matka. Gdyby był ojciec, na pewno by mi pozwolił. Ale pojechał na prelekcję, jak prawie każdej niedzieli.

A właśnie, ojciec... Ojca ściągnęli na komendę z posiedzenia w pewude. Przyprawdzili go do mojej celi. Wszedł, usiadł na prycy. Milczał.

- Widział tatuś mamusię?

Nie odpowiedział. Milczał. Wiedziałem, że za chwilę wybuchnie. Poruszał szczękami, jak gdyby miał coś do żucia. Zawsze tak porusza, zanim wybuchnie. Ale tym razem nie wybuchł, może powstrzymała go ta cela. Podniósł głowę znad swych szerokich piersi, jest barczysty i naprawdę wygląda jak kloc, i powiedział matowym głosem:

- Coś ty najlepszego narobił? Co za raketę odstawiłeś? Jak nie dostanę kawalera, to chyba cię własnymi rękoma ukatrupię...

Zrobiło mi się smutno, bo jedyny syn w areszcie, żona w areszcie, a on tylko myśli o tych swoich orderach.

- Dostanie tatuś kawalera, na pewno...

- A co ty wiesz, smarku przebrzydły! - Skończyły się żarty, jednak wybuchł. - Mój ojciec, a

twój dziadek, walczył w powstaniu, dostał krzyż i podporucznika od profesora Henryka Jabłońskiego! Ja walczyłem z bandami WiN, Łupaszki, z innymi! Mam sierżanta i legitymację jeszcze z pepeeru! Myśmy budowali zręby Polski, myśmy narażali życie dla takich jak ty? W kogo ty się wrodziłeś? Po jakim diable masz tę rogatą duszę?

Nagle zrobiło mi się wesoło, dławilem się chichotem. Ojciec tak zawsze miesza partię z piekłem. Wyobraziłem sobie matkę w łóżku z diabłem. Diabeł z diabolicą „na konika”. Usta wyciągnęły mi się, jakbym wsadził sobie rogała w poprzek.

- Czego się śmiejesz, półgłówku! Ty sobie wyobrażasz, co najlepszego narobiłeś? Chciałeś sprzedawać pornografię? Chcesz, żeby Polska była jak Szwecja? Potrzebujesz pieniędzy, to powiedz. Ojciec ci da, jak powiesz. A może ktoś cię szantażuje? Powiedz, szantażuje cię ktoś? Kontaktowali się z tobą? Pytali się o mnie? Co im powiedziałeś?

Do końca widzenia przekonywałem ojca, że nic nikomu nie powiedziałem. Była to nasza domowa żelazna zasada: nie ujawniać informacji na temat działalności partyjnej ojca. Nikomu. Nawet Tomaszowi, bo nigdy nic nie wiadomo. Ale ojciec i tak nie dał się przekonać. Wyszedł przeświadczony, że jednak coś powiedziałem.

Choć tak naprawdę to powiedziałem wszystko, ale dopiero tej nocy, gdy przesłuchiwał mnie tajniak w czarnej skórzanej marynarce. Czułem się jak na wojennym filmie, na Gestapo. Lampa w oczy, taboret, w kółko te same pytania. Przyznałem się do włamania do baraku i do pozowania do zdjęć, i do fotomontażu, wydałem Tomasz, wskazałem miejsce na śmietniku. Ale tajniak nic, tylko wszystko od nowa. Nazwisko, adres, kontakty z podziemiem...

Nie wiem, która była godzina, gdy odprowadzono mnie z powrotem do celi. Położyłem się na pryczy i zacząłem ryczeć jak wół. Cały mój świat, cały mój świat przewrócił się nagle do góry nogami. Ja, syn kierownika i kierowniczkę, licealista, mieszkający w blokach, członek zetesempe, harcerstwa, kółka fotograficznego, niekarany, laureat trzech proporczyków Sztafety Młodzieży Socjalistycznej - ja nagle stałem się podczłowiekiem, aresztantem, już nic gorszego wśród ludzi być nie może jak bandyta z napisem „ZK” na plecach. Nawet robotnik, kierowca, magazynier stoją wyżej od więźnia.

Widuję tych drabów z ogolonymi głowami codziennie. Jest u nas zakład karny, przechodzę pod murami każdego dnia do szkoły i z powrotem. Wyprowadzają ich klawisze na roboty porządkowe, czyścić chodniki, trawniki. Codziennie od siódmej piętnaście do ósmej przechodzi tamtędy pochód uczniów z pekaesu i pekape, co przyjeżdżają do szkoły ze wsi. Te draby nie przepuszczą żadnej dziewczynie, ładna, nieładna, gruba, chuda. „Pokaż pipkę! Pokaż dydki! Ciziunia, jak ci wylizę, to skonasz!” I teraz ja mam być tym samym śmieciem? Ja w tej pustej celi? Ja na pryczy? Wpadłem w histerię, której nie potrafiłem powstrzymać. W końcu przyszedł milicjant.

- Czego ryczysz? Masz tu jak w chatce z piernika. Jutro dostaniesz kopa na oddział. Czekają cię chrcziny. Oj, przywitają chłopcy taką lalunię jak ty. - Podśmiechując się wyszedł i zatrzasnął ciężkie drzwi z wizjerem. Nie wiem, w jaki sposób udało mi się zasnąć, lecz zasnąłem.

Rano, zaraz po śniadaniu, którego, rzecz jasna, nie tknąłem, bo z salcesonu wystawały świńskie włosy, a razowy chleb czuć było moczem albo czymś takim, zaprowadzono mnie na górę na przesłuchanie. Inny jakiś tajniak wałkował wszystko od początku, nie wiem, chyba do południa. Po czym zdjęto mi odciski palców, obfotografowano, kazano rozebrać

się do naga, zrobić skłon wprzód i przysiady, i czekać pod ścianą. I czekać. I czekać. Zmarłem na kość, zsiniałem. Co chwila przechodzili milicjanci i cywile i gapili mi się między nogi, z uśmiechem. Wreszcie, gdy już trząsałem się jak osika, dali mi więzienny drelich „ZK”. Byłem zmiażdżony. Gdyby nie kraty w oknie, wyskoczyłbym w jednej chwili. Chciałem z sobą skończyć tak jak Czarek.

Kiedy się ubrałem, tajniak zaprowadził mnie do pustego pokoju, zamknął drzwi od środka na klucz, rozkraczył się i powiedział:

- Muszę ci wpierdolić. Matka, ojciec cię nie wychowali, to milicja cię wychowa! - Zza poły skórzanej marynarki wyjął pałkę. Struchlałem. - Dupy ci się zachciało?! Podglądania dziewczyn? Na mózg ci bije? To się, kurwa, ochajtaj! Z kwiatkami do niej, z ptasim mleczkiem, a nie jak jakiś zboczeniec!
- A pan tego nie robił? - wyszeptalem.
- Chłopak mało by się zabił! Może jeszcze umrzeć, bo nieprzytomny!
- Czarek żyje?
- Połamał nogi i coś ma z mózgiem nie tak. A teraz ja ci mózg i nogi porozwalam o ściany! - Zamierzył się pałką i nim się odsunąłem, podciął mi kolana, a gdy upadłem, dołożył jeszcze parę razów. Nogi miałem jak zanurzone we wrzątku, jak w piekarniku. Stał nade mną i krzyczał. Czekałem następnych razów. Rzucił wyzwiskami, zamierzał się co chwila, ale więcej już nie bił. Zostawił mnie samego na podłodze, zakluczając drzwi. Leżałem wijąc się z bólu, a gdy z wolna ból ustąpił, pomyślałem o Czarku, że jednak żyje, że jeszcze żyje.

Podszedłem do biurka, usiadłem i zacząłem rysować babeczki. O twarze nie dbam, twarz to zwykłe kółko albo owal. Ale już od ramion w dół staram się, jak mogę. Najlepiej wychodzą mi piersi z półprofilu, jedna zadarta, druga bardziej okrągła. Potem idzie talia i biodra, na środku pępek, niżej busz i uda. Od kolan w dół także nie dbam, mogłyby mieć kikuty zamiast stóp, nawet płetwy albo szczudła. Najbardziej liczy się środek, dlatego rysuję detale. Ale nie mam odpowiednio dokładnych zdjęć i muszę siatkować kalkę i powiększać.

Po tej drace z Dorotą i Beatą ojciec zabronił mi jakiegokolwiek fotografii. Zresztą dostałem pół roku oficjalnej kuratelki i osiemdziesiąt godzin społecznych na rzecz Zakładu Oczyszczania Miasta. Tomasz też. Najpierw się broniłem, że to nie fair, że zatrzymam się w rozwoju. W kółku fotograficznym miałem już niemałe sukcesy: II nagroda na miejskim konkursie „Obiektyw w plenerze”, wyróżnienie na konkursie wojewódzkim. Ale ojciec był nieubłagany - nie i nie. Może nawet by się w końcu zgodził, ale podjudzała go matka, właściwie powinno się mówić: „podżydzała”. Bo to właśnie robiła. Podśluchiwałem pod drzwiami:

- Tylko mu golaski w głowie, naguski, same świństwa! Ile się wstydu najadłam przez tego twojego syna. W kogo on się wrodził, ta twoja pociecha? W mojej rodzinie takie rzeczy były nie do pomyślenia. Raz tylko odważyłam się zabrać mamusi jakąś rzecz bez pytania, nie pamiętam już, co to było, jakiś drobiazg. Tatuś tak mnie zbił rzemieniem, że popamiętałam na zawsze. A ty co? Kiedy ostatnio przyłożyłeś się do wychowania syna? Masz teraz efekty!

- Bajki opowiadasz - powiedział ojciec. - Sam pamiętam, jak cię matka w twarz zdzieliła z otwartej, a byliśmy już grubo po ślubie.

- Kiedy? Coś ci się chyba przyśniło!

- Ty wiesz najlepiej.

- Wstyd na całe miasto! Ty wiesz, jak ja się czułam, gdy mnie na oczach tłumu prowadzono do radiowozu? Ty gnojku, ty wiesz, jak ja się czułam? A na komendzie? A ty gdzie byłeś?

Wódkę piłeś! Nigdy cię nie ma, jak potrzeba! Tylko pić potrafisz, ty chłystku! W ciebie się wrodził! Wstyd ludziom w oczy spojrzeć! Ty wiesz, co ta Kozakiewiczowa teraz o nas opowiada? Ty nie wiesz, bo ty się niczym nie interesujesz! Ciebie tylko obchodzi czubek własnego nosa! Rób tak dalej, ty draniu, to się doczekasz!

I ojciec uparł się, jakby nie on. Wyniósł praktykę i powiększalnik do jakiegoś kolegi, zabrał mi smienę, choć to był prezent od niego, wypisał mnie z kółka i zapowiedział, że jak jeszcze raz dotknę aparatu, to tak mnie zleje, że się od śmiechu nie utrzymam.

Mam teraz tylko jedenaście zdjęć, które zdążył ukryć Tomasz, zanim do niego przyszła milicja. Nie przyznał się. Kilka ujęć Doroty i reprodukcje ze szwedzkiego magazynu, które zrobiliśmy już dawno temu. Dobre, tylko małe jak liliputy. Chujki jak u wyrosniętego pasikonika. Oglądać to się jeszcze da, ale żeby przerysować, to nie. Przerysować można zdjęcia z gazet, ale na nich znowu mało co widać. Dlatego siatkuję i powiększam.

Nazbierało mi się tych kalek od groma. Zrobiłem nawet prawdziwy film, prymitywny, ale się rusza. Trzydzieści osiem rysunków na małych kaleczkach. Zbliżenie od tyłu, ona jedzie na nim. Szafa gra. Wypożyczaliśmy z Tomaszem ten film szczeniakom z podwórka, po pięćdziesiąt groszy za seans, ale nie ma już chyba w okolicy takiego, co nie widział.

Wszystkie rysunki i zdjęcia trzymam w wersalce, a gdy wyjeżdżam z domu na dłuższy czas, wynoszę je do piwnicy. W murze nad samą podłogą wyrąbaliśmy schowek. Kiedyś, zanim pójde na swoje, zamuruję ten schowek dla przyszłych archeologów. Do środka włożę moje najlepsze rysunki miasta, kościół romański, mury obronne, stawek w parku, jakieś monety, parę pamiątek, które mam po dziadku, jakiś order ojca, może napiszę list, kto to zrobił i po co. Nikt nie wie, kiedy będzie wojna. Pewnie atomowa ze Szwabami, albo neutronowa, a wtedy wszystko trafi szlag. Może kiedyś w gruzach bloku ktoś odkryje, że było tu miasto.

Lecz tak naprawdę te moje rysunki to zwykła miernota, podrzędne imitacje grafik naszego miejskiego artysty plastyka, J. Byszczkańskiego, o którym piszą nawet w encyklopedii powszechnej. Cenić go trzeba choćby za to, że wybił się i mieszka w stolicy. Choć ludzie w mieście mówią, że to kreatura, że poszedł na manowce, a zgubiły go miałość i nieudolność, a tak w ogóle to sfałszował sobie życiorys w tej encyklopedii.

Dorysowałem jej ogórek. Mniej więcej w skali jeden do czterech. W jeden do jeden jeszcze nie rysuję, za dużo detali, półcienie, cienie. Ale kiedyś spróbuję. Będzie jak żywa. Wytnę ją sobie i nakleję na desce z sękiem. Raz zrobiłem manekina, raczej manekinę.

Dwuczęściową piżamę wypchałem szmatami. Dół przyszyłem do góry fastrygą, tak jak uczyli nas na pracach ręcznych. Nogi zginały się w kolanach, ręce w łokciach. Miała nawet twarz z piłki do siatkówki i szyję z pończochy. Było około czternastej i nikogo się nie spodziewałem. Aż nagle trach-trach otwierają się zamki. Wcisnąłem ją za wersalkę i pobiegłem do łazienki, żeby się ubrać. To była matka.

- Co taki zgrzany jesteś? - spytała, gdy wyszedłem z łazienki.

- Mamusia tak wcześnie?

- Źle się poczułam. Ale i ty jesteś jakiś dziwny. Masz gorączkę?

Musiałem zrobić podejrzaną minę, gdyż stała się czujna. Zaczęła chodzić po mieszkaniu i rozglądać się wszędzie. Poszedłem do mojego pokoju, ale nijak nie było możliwości, aby upchnąć manekinę głębiej. Wystawały jej nogi prawie od kolan. Przykryłem je szkolną torbą. Weszła matka. Usiadłem na wersalce. Stała naprzeciwko.

- Wiem, że ukrywasz coś przede mną. Przyznaj się niezwłocznie, bez tych niepotrzebnych dochodzeń. Naprawdę nie mam dziś na nic ochoty. Żywię nadzieję, że się przyznasz.

- Nic nie ukrywam.

- Dobrze. Opowiem ci pewną historię. Pamiętasz, gdy kupiliśmy tę szafę na wysoki połysk w pokoju stołowym? Miałaś może osiem, dziewięć lat. Wróciłam z pracy tak jak dzisiaj i od razu wiedziałam, że coś ukrywasz. Pamiętaj, matki nie da się oszukać! Matka wie! Kręciłeś się i kręciłeś. Czuleś się bardzo, bardzo nieswój. A wiesz, dlaczego? Dlatego, mój drogi, że miałeś wyrzuty sumienia. Coś, od czego nikt nie ucieknie. Rozumiesz? Nikt. A zwłaszcza dziecko. Zapytałam się ciebie wreszcie, czy wchodziłeś do szafy. Pamiętasz? Nie pamiętasz. Ale ja ci przypomnę. Odpowiedziałeś, że nie wchodziłeś. Zapytałam raz jeszcze. Biłeś się w piersi, że nie wchodziłeś. Więc otworzyłam szafę i pokazałam ci odciski twoich własnych brudnych stóp, bo nie tylko do szafy, mój drogi, wszedłeś, ale wszedłeś bez skarpetek, z brudnymi nogami, i na koniec próbowałeś matkę oszukać. Pamiętasz, jak się czuleś, gdy twoje kłamstwo wyszło na jaw? Pamiętasz? Nie było ci przyjemnie, prawda? Czy chcesz poczuć się tak samo i tym razem?

- Naprawdę niczego nie ukrywam, niech mamusia choć raz mi uwierzy!

- Ciiiiii. Nie podnoś głosu. Figa z makiem! Pytam ostatni raz: przyznasz się sam czy mam ci udowodnić, że kłamiesz?

Nie odpowiedziałem. Podeszła w róg wersalki, odsunęła torbę i wyciągnęła manekinkę za nogę na środek dywanu.

- Matko Boska! A co to jest za szkaradło? Moja pończocha na piłce? Chcesz mi puścić oczka? Czy zdajesz sobie sprawę z tego, jak trudno zdobyć pończochy ze znakiem jakości Q? Czy rozumiesz, ile to kosztuje znajomości? Nie mówiąc o pieniądzach. Ty rozumiesz, ile kosztuje reperacja w punkcie podciągania oczek? Ty nie rozumiesz, bo ciebie nic a nic nie obchodzi! Ty byś tylko brał! A ja skąd mam brać? Manna z nieba nie leci. Ale zaraz... Do czego ci to było potrzebne? - zamilkła nagle, odwróciła się, wyszła z pokoju i dopiero w przedpokoju krzyknęła: - Proszę to w te pędy zlikwidować! I niech mi to będzie ostatni raz! Bądź posłuszny!

Kilka dni później podsłuchałem, jak mówiła do ojca:

- Nie wierzę, że nie masz jakiegoś znajomego psychologa. Musisz kogoś znać, może w województwie? To byłoby nawet lepiej, bo dyskretniej. Martwię się o niego. Może porozmawiałbyś z ojcem Tomka. Zauważyłam, że oni nie bawią się tak często jak dawniej. Michałek cierpi na samotność, bo dlaczego zrobił sobie kolegę z piżamy?

Ojciec się nie odezwał, ale nie dlatego, jak przypuszczam, iż nic go nie obchodziło, lecz ponieważ wiedział, że kukła to rzeczywiście był kolega, tylko do innej zabawy, niż myślała matka.

Ojciec również wrócił kiedyś wcześniej niż na ogół. Miał rozstrój żołądka, więc prosto z klatki popędził do łazienki. Gdy otworzył drzwi, stałem przebrany za Basię. Już wtenczas byłem od niej wyższy i cięższy, więc w jej rajtuzach i biustonoszu przypominałem zasznurowaną szynkę, a usta miałem wyszminkowane niczym Kaczor Donald. Normalnie to pewnie ojciec udałby, że nie widzi, zamknąłby drzwi i poszedł sobie. Ale miał to rozwolnienie, co było widać nawet na twarzy. Musieliśmy zatem w biegu minąć się w drzwiach, czemu towarzyszyło małe zamieszanie, krzyki ojca, moje piski, a potem, już zza zamkniętych drzwi, donośne grzmoty, których nie oddałyby żadne onomatopeje.

Wstałem z krzesła, przeszedłem się po pokoju, o ile w ogóle jest to w tej kiszce możliwe, i położyłem się na wersalce. Ojciec na pewno wróci podchmielony. Z prelekcji zawsze wraca podchmielony. Zresztą nie tylko z prelekcji. Pije, bo musi, takie piastuje stanowisko.

Gdy byłem mały, częstokroć towarzyszyłem mu w prelekcjach. Chłoporobotnicy najpierw słuchali przemówienia jak kaznodziei, potem padały wolne pytania na temat tego, czego który nie zrozumiał, potem starszyzna szła do klubokawiarni i następował poczęstunek oraz wieczorek artystyczno-rozrywkowy w wykonaniu uczniów i uczennic z miejscowej podstawówki. Wiersze, gala, chór, starszyzna bije brawo, za co otrzymuje kwiaty, nie wiadomo skąd wytrzaśnięte wedlowskie bombonierki albo ptasie mleczko, no i ten poczęstunek.

Nudziłem się, bo mało obchodziły mnie snopowiązałki, kółka rolnicze, melioracja, unasiennianie zwierząt i takie tam inne, ale lubiłem, kiedy chwaliły mnie wieśniaczki. W domu rzadko jestem chwalony, częściej Basia.

- Zobaczcie - mówiły do swych dzieci - jaki synek towarzysza ułożony, nie to co wy, pantalony.

Tylko że czasem zadawały głupie pytania: kogo bardziej kocham, mamusię czy tatusia? Albo czy mamy w domu pralkę i telewizor? A na którym piętrze mieszkamy? A czy w bloku jest prawdziwa winda? A czy to prawda, że taksówki mają radiotelefony? Czy to prawda, że budują drugie kino? Nigdy się nie przyznałem, kogo kocham bardziej, bo prawdę mówiąc, do dzisiaj nie wiem. Ani nie powiedziałem, że mieszkamy na wysokim parterze i że windy nie ma. Co do tego kina, wyjaśniałem wszem i wobec, że mamy nie dwa, lecz trzy kina, choć to drugie, amfiteatr, czynne jest tylko latem, a to trzecie, garnizonowe - tylko w niedzielę. A pralka, telewizor, radiotaxi to przecież w mieście normalka.

Tymczasem ojciec wcinał poczęstunek, aż mu się uszy trzęsły, a i mnie podsuwał co rusz lepsze kawałki.

- Jedz, junior - śmiał się na cały stół - bo w domu tego nie masz!

- Towarzysz to ma poczucie humoru! - śmiały się wieśniaczki. - W mieście wszystko jest! W miarę poczęstunku ojcu coraz bardziej szklily się oczy, aż w końcu mówił:

- No, dzięki Bogu i Partii, najedliśmy się. Teraz się napijemy.

Wieśniaczki wybuchały śmiechem, a sołtys polewał strumieniami.

- Pijcie, towarzyszu, pijcie.

Byłem dumny, że ojciec to prawdziwa szyszka, a ja to szyszka-junior.

Dopiero pod wieczór, gdy chłoporobotnicy prowadzili go do służbowego żuka, robiło mi się smutno, niemrawo, bo wiedziałem, co będzie dalej. Powtórzy się niedzielny rytuał. Każde kierowcy jechać do knajpy na rynku, lecz zaśnie, zanim dojedziemy, i zmoczy się w spodnie. Potem będę go prosił, żeby się obudził. Będę szturchał tłusciucha. Kierowca będzie tarosił go za marynarkę. Z bloku wyjdą ludzie i będą się gapić. Matka będzie płakać. Ojciec będzie całować ją w szyję. Matka odepchnie go na ścianę. Ojciec będzie krzyczał, że poszuka sobie innej. Matka - że nikt takiego chłystka nie weźmie. Za tę zniewagę ojciec uderzy ją w twarz.

Ale gdy podrosłem, poniechałem tych niedzielnych wyjazdów. Ojciec jeździł sam i wracał mniej lub bardziej podchmielony. Kiedy nie miał siły utrzymać się na nogach, padał w przedpokoju i wciągaliśmy go z matką do sypialni, rozbierali i kładli na łóżku. Matka denerwowała się, że jest taki ciężki. Rzeczywiście, w najlepszym czasie ważył sto trzydzieści kilo. Raz, gdy byłem jeszcze mały i spałem z nimi w łóżku, a dokładniej pomiędzy nimi, połamiał mi obojczyk. We śnie musiał przekułać się na mnie. Nie wiem, jak długo wystawałem tak spod niego, w każdym razie rano obojczyk miałem już złamany. Ojciec, wioząc mnie taksówką do szpitala, upierał się, że wypadłem z łóżka, lecz było to niemożliwe. Potem to samo wmawiał lekarzowi na izbie przyjęć, lecz efekt finalny i tak był taki, że na siedem tygodni zawiązali mnie w elastyczne bandaż.

Gdy chrapał już smacznie w łóżku, matka szperała mu po kieszeniach. Raz znalazła napoczętą butelkę i wylała ją do zlewu w kuchni. Ojciec akurat się obudził i wszczął awanturę, i zaczął szarpać matkę za rękę. Uderzyła go w twarz. Oddał jej z otwartej dłoni. Upadła, lecz zaraz wstała i rzuciła się na niego z butem na wysokim obcasie. Bałem się, że szpilką wybije mu oko albo przebije skroń. Jednak wyrwał jej but i zaczął dusić za szyję. Podbiegłem i ciągnąłem go za łokieć, krzycząc, aby nie bił mamusi. Oprzytomniał i poszedł do sypialni. Matka wstała z podłogi i poszła do łazienki. Czekałem chwilę z nożem do chleba w ręce, po czym poszedłem za nią, aby odciąć sznur. Stała na wannie. Płakała. Lecz widząc mnie z nożem, zdjęła węzeł z szyi i powiedziała:

- Oddaj mi to, bo jeszcze się poranisz. Nóż w rękę dziecka to mur-beton wypadek.

Z czasem przestałem reagować na te ich grandy. Tłumaczyłem matce, żeby nie prowokowała ojca, gdy wraca podchmielony. Nie odpowiadała. Ojcu mówiłem, gdy był trzeźwy, że słabszych się nie bije. Także nie odpowiadał. Ale następnym razem robili to samo. Bicie, krzyki, płacz, sznur.

Raz matka wykrzyczała, że ojciec pije tak długo, jak długo alkohol ma pod ręką, a to niezbity dowód, że powinien leczyć się u psychiatry. Na słowo „psychiatra” zareagował oszołomiony. W mieście jedyny psychicznie chory człowiek to doktor Winiarski, psychiatra właśnie. Ojciec chciał widocznie udowodnić, że nie zależy mu na alkoholu, bo ni stąd, ni zowąd poszedł do kredensu w stołowym i rozbił o ścianę wszystkie butelki koniaku, które przywiózł z Bułgarii. Zapędził się i rozbił także tę, którą przywiozła matka. Zaczęła krzyczeć, że nie będzie rozbijać jej butelek. Uderzył ją, gdy rzuciła się na niego. Stałem w drzwiach i nie wiedziałem, co zrobić. Przymykałem tylko powieki, aby nie trafiły mnie odłamki szkła. Nazajutrz matka zarzuciła mi, że jej nie bronię, gdyż na pewno przekupił mnie ojciec.

- Powiedz prawdę - krzyczała - daje ci pieniądze po kryjomu! Daje ci? Proszę się natychmiast wytłumaczyć! Dwakroć!

Nie wiem, co przyszło jej do głowy. Naprawdę ojciec mi nie płacił. Zresztą nie wziąłbym, kocham ich przecież oboje, może na równi, może raz jedno bardziej, raz drugie. Nie wiem. Czasem wydaje mi się, że bardziej kocham matkę, bo w gruncie rzeczy jest taka biedna, wydaje się opuszczona przez nas troje. Zwłaszcza gdy jedno po drugim wychodzimy z domu, a matka zostaje i po nas sprząta, szoruje na kolanach, pastuje, froteruje podłogi, jeżdżąc na dwu kawałkach flaneli. Czasami jednak myślę, że bardziej kocham ojca, choć pije, ale to nic, że pije, piją wszyscy. Tylko po co tak się awanturuje?

Ale to przekupstwo to było po prostu oszczerstwo. Chociaż matka grubo się myliła, czułem się winny. Może rzeczywiście nie powinienem był stać i patrzeć bezczynnie?

Następnym razem, gdy znów się szarpali, podbiegłem do ojca i z całej siły uderzyłem go pięścią w brzuch, że aż zabolął mnie nadgarstek. Oboje stanęli jak słupy soli w kaplicy w Wieliczce, patrząc na mnie otepiałym z zaskoczenia wzrokiem. Matka poszła zaraz do łazienki, a ojciec wyszedł z domu i wrócił dopiero nad ranem, prawie nieprzytomny.

Słyszałem, jak płakał na podłodze w przedpokoju:

- Syn bije ojca...

Nazajutrz matka powiedziała:

- Jak mogłeś to zrobić? Jak mogłeś podnieść rękę na rodzonego ojca?

Czułem się winny i postanowiłem nigdy więcej nie bić ojca ani nie bronić matki. Niech się nawet wymordują tasakami. Niech matka się powiesi! Nigdy już nie pobiegnę odciąć jej ze sznura! Niech ojciec wpadnie pod pociąg i zginie na miejscu, tak jak ginie wielu nietrzeźwych, co przechodzą przez tory na wyładówce, na skróty. Czułem się spłoszony, targały mną sprzeczności, sprzeniewierzałem się.

Długo pozostawałem wierny swemu postanowieniu, aż wreszcie kiedyś, innego wieczoru, nie wytrzymałem. Bili się w kuchni, a ja siedziałem zamknięty w moim pokoju. Zatykałem uszy kciukami, zamykałem oczy, próbowałem myśleć o Leonidzie Telidze i jego jachcie „Opty”. W atlasie zaznaczyłem flamastrem całą trasę. Właśnie byłem na Galapagos, gdzie oddaliśmy jacht do stoczni remontowej i czekaliśmy wylegując się pod palmą. Dookoła rozpościerał się, rozprzestrzeniał świat niczym z baśni Andersena. Z wolna rozpierzchło się robactwo, rozścielił się puszysty dywan piasku, rozleniwiła się sadzawka pełna żabiego rechotu. Pośród kamyków buszowały ciemnoczerwone skarabeusze, w kwiatkach szczebiotały kolibry. Syciłem się swobodnie egzotyką ciszy, stroniłem od hałasu, stąpałem po tym moim świecie lekko, radośnie. Skrupulatnie aplikowałem wybielacz chropowatej, ospowatej szarzynny. Ciułałem te chwile chciwie, łapczywie, a szczęście i tak wyciekało mi pomiędzy palcami. Pan Teliga opowiadał właśnie o żółwiach i kameleonach, gdy niespodziewanie w kuchni trzasnęło szkło. Chwilę potem usłyszałem płaczliwy krzyk matki:

- Puszczaj, ty chłystku! Śliwki są na zimę, a nie na kaca!

- To jest dom wariatów! - krzyczał ojciec. - Zrobiłaś z nas skazańców, niewolników. Ten dom to zakład karny, a nie dom! Jesteś klawiszka, a nie żona! Nawet kompotu napić się nie można!

Musieli rzucić się na siebie, bo zakotłowały się kroki, skoki na podłodze, jak polka. Matka wołała o pomoc:

- Michałku, tatuś oszalał! Michałku, on pozbawi mnie życia!

Wybiegłem z pokoju. Przepelniła mnie wzdarga, wściekłość, dziczyna. Przechyliła się czara mojej nadludzkiej cierpliwości. Wpadłem do kuchni. Byłem gotów porozbijać im głowy, jedną o drugą i obie o ściany, że polecą smarki! Odbiła mi szajba:

- Kurwa zajebana! Odpierdolcie się ode mnie raz na zawsze!

Stanęli nieprzytomni. Puścili się. Spojrzeli na mnie jak wtenczas, gdy uderzyłem ojca.

- Michałku, kto cię nauczył tych brzydkich słów? - niedowierzająco wyszeptwała matka. - Jak możesz zwracać się w ten sposób do mamusi i tatusia? Nie wstyd ci?

- Wiem, wiem! - wykrzyczałem. - Jak się będę tak dalej rozwijać, to skończę w kryminale!

Ale was już dzisiaj trzeba zamknąć w Tworkach!

Matka zamknęła się w łazience, ojciec wyszedł z domu. Wróciłem do mojego pokoju. Nie odetnę jej, niech skona! Skończę liceum i pójdę na studia. Zamieszkać w akademiku i będę przyjeżdżał do domu raz na rok, może na Boże Narodzenie, o ile wcześniej nie zgaśnie palenisko w tej mojej rodzinnej sadybie. Zostanę kimś i nigdy nie wrócę do tego wariatkowa!

Nagle z łazienki dobiegł głęboki huk, łomot, jakiś rumor. Serce utkwilo mi w gardle.

Pobiegłem do kuchni po nóż. Wyłamałem drzwi barkiem. Oślupiałem, gdyż matka nie miała sznura na szyi. Była zmieszana.

- Spadłam z wanny... Chciałam przymknąć okno, bo deszcz nadciąga...

Wstałem z wersalki i podszedłem do okna. Na dworze nic się nie dzieje. Muszę jakoś skończyć to wypracowanie. Przecież nie napiszę o Kaziku i jego babie. Profesor Pliszka chyba by się przewróciła. „Ruchają się!” Dobrze. „Zakleszczyli się jak psy!” Już słyszę, jak Pliszka mówi: „Twoje wypracowanie zawiera wyrazy pochodzące z języka pijackiego!” Raz już wpisała mi uwagę w dzienniczku: „Michał posługuje się językiem, który nie zawiera ani jednego słowa literackiego!” Matka udzieliła mi surowej reprimendy, a ojciec zbił paskiem.

Poruszyłem się i nadstawiłem uszy jak królik, bo ze stołowego dobiegł głos matki:

- Pani Nowicka, pani naprawdę już wychodzi? Tak miło nam się plotkowało - zaśmiała się głośno. Zawsze tak się śmieje, gdy żegna gości.

- Ach, kochana, mam jeszcze huk pracy w domu.

- Ależ praca nie zajac. Niech pani jeszcze posiedzi...

Jednak wyszła. Po chwili matka zajrzała do mojego pokoju. Trzymała w rękach obie pomarańcze.

- Zjemy je sami - uśmiechnęła się przebiegle.

- A tatuś i Basia?

- Tatuś na pewno wróci podchmielony. Jemu witaminy nie są potrzebne. A Basia? Basia, mój ty Boże, i tak ma wszystko gdzieś. Całymi dniami szlifuje bruk z tym chłystkiem i wraca do domu jak do hotelu. Proszę - wyciągnęła rękę. Zawahałem się. Czułem się osaczony, objuczony, obleczony, obarczony tym ciernieżnym jarzmem. Głowę ścisnęły mi żelazne obcęgi, stalowa obręcz zamknięta klamrą na śrubę. Matka zawsze namawia do zjadania czegoś chyłkiem, cichaczem, po kryjomu.

Raz ugotowała obiad: kotlety schabowe z surówką z kiszonej kapusty, ziemniaki z koperkiem i kompot ze śliwek. Zjedliśmy we dwoje, bo ojciec nie wrócił z pracy, a Basia - wiadomo. Wieczorem matka przyniosła mi do pokoju talerz ojca.

- Zjedz, synku, bo rośniesz. Tatusiowi kalorie nie są potrzebne, ma ich wystarczająco dużo w wódce.

Odmówiłem raz i drugi, ale nalegała, więc w końcu zjadłem. Nie minęło pół godziny, gdy wrócił ojciec. Nie był pijany. Pracował do późna. Był głodny. Poczuliśmy się winny, unikałem jego wzroku, gdy zaglądał do lodówki, do piekarnika, do szafy. Wreszcie podszedł do mnie i zapytał:

- Nie wiesz, co się stało z moim kotлетem?

Zamknąłem się w pokoju i rozplakałem się jak dziewczyna, wylałem żal w poduszkę, jak smark, jak nic, jak ostatnie gówno. Tak bardzo chciałem oddać ten kotlet. Przed oczyma tkwiła mi siwizna ojca. Czułem się udręczony, przeczulony. Powinienem był schować kotlet przed matką. Nigdy więcej tego nie zrobię! Tylko zły człowiek raczy się nieswoimi przysmakami.

Spojrzałem na matkę raz jeszcze. Spojrzałem na pomarańcze.

- Niech mamusia zje sama. Ja dziękuję.

- Ależ Michałku, co tobie się stało? Złe się czujesz? Chory może jesteś? Tak przecież uwielbiasz pomarańcze. Nie przejmuj się tatusiem ani Basią. Oni nie przejmują się tobą. Tak naprawdę masz tylko mnie. Wszystko zawdzięczasz tylko mnie...

Milczałem. Wyszła z pokoju. Chciałem powiedzieć, że to nieprawda. Chciałem powiedzieć, że to piramidalny błąd, że nie ma prawa krzywdzić ojca, że jemu także należy się połówka pomarańczy. On także znosi do domu, co tylko może. Z enerdowa przywiózł nie tylko rodzinę, ale i żyrandol za prawie całą wymianę, dwieście marek! Żalił się później, łkając na podłodze w przedpokoju, że nawet piwa sobie nie kupił przez ten żyrandol, i żadnej wdzięczności. Płakał, że załatwia na wsi mięso bez kartek, kupił gdzieś pół świniaka, przydźwigał skądś dwadzieścia pięć kilo cukru. Załatwia karpie na święta. Raz przyniósł zajaca, raz owcę, końską nogę, gęś. Nie zjem ojcu tej pomarańczy! Jemu także należy się ten rzadki przywilej!

A matka wyżera mieszankę wedlowską i tak się wycwaniała, że nawet pudełka nie otwiera. Pudełko zabezpieczone folią, a mieszanka znika. I ptasie mleczko, ale tylko białe w środku. Na czarnym widać ślady po zębach na odgryzionej ścianie. Też wyżeram, ale nie ja

zaczęłam. Wszyscy wyżeramy, tylko nie ojciec, bo jest zbyt dumny. Kiedy matka pozwala wreszcie otworzyć pudełko, brakuje połowy. Krzyczy wtenczas, że pracownicy w Wedlu kradną. Zawsze odstępuję ojcu ze dwie, trzy czekoladki z mojego przydziału, aby nie miał krzywdy. Dobrze, że zgarnęli matkę na komendę, dostała nauczkę od życia za wszystko. Szkoda tylko, że zaraz ją wypuścili, powinna była siedzieć tak jak ja, jeść salceson z sierścią, pić czarną gorzką zbożową kawę, której nienawidzi, a może nie byłaby tak rozbisurmaniona!

Wstałem z wersalki. Podeszedłem do okna. Oparłem się na parapecie. Nie! Nie będę więcej opierał się na desce! Położę poduszkę, tak jak wszyscy! Cofnąłem się w głąb pokoju i wziąłem rumuńską poduszkę w wełnianej kopercie z frędzelkami. Położyłem ją na parapecie, a na niej brzuch. Będę tak wyglądać do usranej śmierci. Będę obserwować, co dzieje się na osiedlu. A jak matka coś mi powie, to wszystko jej wygarnę. Przyzna się mamusia do wyżerania sama czy mam jej udowodnić, że kłamie? Proszę się wytłumaczyć, dwakroć! Czy to są mamusi zęby? Dość terroryzmu! Ojciec ma rację. Nie będę tak kretyńsko ugrzeczniony, nie dam się udomowić. Człowiek ma prawo do własnej osobowości. Nie będzie mnie więcej zmuszać, dołować, obwiniać, pouczać, szpiclować... Zmieniłem się w tym areszcie, to prawda, choć zwolniono mnie zaledwie po czterech dniach. Więzienia mi wprawdzie zaoszczędzono, ale tak czy inaczej był to koszmar, prawdziwe dantejskie piekło. Przede wszystkim nigdy odtąd nie spojrzałem z pogardą na tych z ZK, albowiem musiałbym wzgardzać także sobą. Mało tego, raz, gdy piłem z Tomaszem wino na stadionie XX-lecia peerel, oddaliśmy prawie pół butelki kilku więźniom, którzy grzebali szpadlami w murawie. Zaprosili nas w zamian w krzaki na czaj i opowiadali o swoich narzeczonych i żonach. Od czaju chciało wyskoczyć mi serce z klatki piersiowej. Pomyślałem, że cokolwiek ci zetkaowcy zrobili, nade wszystko są takimi samymi ludźmi jak matka, ojciec, Basia i ja. A może lepszymi.

Dzisiaj widzę, że był to dla mnie kamień węgielny. Objawienie. Życie to huśtawka między szczęściem i niedolą, między śmiechem i szlochem, szczególnie takie życie jak ta nasza rodzinna tragifarsa. Życie to ustawiczna, nieunikniona metamorfoza.

Od tego dnia rozmyślałem, kim jestem. Przeczytałem „Rhum” Cendrarsa i znalazłem szokującą prawdę o sobie. Nieomal idealnie pasującą charakterystykę: brak wytrwałości. Znajdujący upodobanie w marzeniach i wyobraźni. Skłonny do wzruszeń. Lubiący bujać, aż do zatury, w obłokach. Wielość aspiracji i brak kontroli. Kieruje się wyłącznie uczuciami. Słaba wola i samokontrola. Łatwość w przyjmowaniu obcych wpływów. Popędliwość, której potem żałuje. Wyrzuty sumienia, że nie wykorzystało się szansy, szans. Stały konflikt między życiem zewnętrznym i wewnętrznym, natura płochliwa, niezdolna ustalić się, zdecydować. Pierwiastek męski i pierwiastek żeński w stałej równowadze. Natura rozdartą. Jest to charakterystyka astrologiczna Jana Galmota, ale i moja, i matki także. Dlaczego? Dlaczego jestem, kim jestem? Dlaczego jesteśmy we dwoje, ona i ja? Jak dalece przeobrazimy się na drodze życia? Czy życie to rzeczywiście metamorfoza, a może tylko pozory? Czy matka była za okupacji taka jak ja? Dlaczego się nie zmieniła? Bo nie próbowała? Bo bała się zmian? A ja? A w przyszłości moje dzieci? Czy jej tatuś, a mój dziadek, był taki sam? Czy i ja będę tyranem i histerykiem? Matka wiecznie narzeka na babcię, ilekroć przyjeżdża do nas ze wsi, że we wszystkich pokojach wbija gwoździe w ściany i suszy kiełbasy z uboju. Że na punkcie gwoździ i kiełbas babcia ma fioła. A przecież matka ma obsesję na punkcie gwoździ i linek. W całym domu rozwiesza pranie, że przejść

się nie da. Ma wprawdzie rację, bo w suszarni w piwnicy suszyć nie należy ze względu na złośliwość sąsiadów, którzy smarują pranie sadzą. Ale jest to obsesja! Zastanawiam się więc, do czego ja będę kiedyś używał gwoździ.

Tomasz inaczej zniósł swoje aresztowanie. Wypuszczono go tego samego dnia, po pierwszym, i jedynym, przesłuchaniu. Załatwił mu to ojciec, który z komendantem chodził do jednej klasy w naszym ogólniaku. Całą winę zepchnął na mnie: mój aparat, moja ciemnia, moje zboczenie. Rzekomo nakłoniłem Tomka, a tak w ogóle to od dawna miałem na niego zły wpływ. Wszak pochodzę z rodziny patologicznej; wysokie stanowisko ojca jeszcze o niczym nie świadczy. Margines społeczny należy bezwzględnie demaskować. Miejsce kryminalistów jest nie gdzie indziej jak w kryminale! Powtarzając mi słowa ojca, Tomasz miał niewyraźną minę. Wiedział, jak było w istocie i całym sercem podzielał moją krzywdę. Jednakże nasza przyjaźń zachwiała się dość mocno. Tomasz, zdaje się, uległ perswazjom rodziców, bo patrzył na mnie teraz inaczej niż dotychczas. Miał chyba żal, że go wydałem. Może uwierzył, że skończę w kryminale. Może zobaczył na własne oczy, że jestem z marginesu? Widział przecież niejedną raz mojego ojca w stanie nieważkości. Jego ojciec też pije, ale kulturalnie, pod krawatem, w domu, w zakładzie gastronomicznym pierwszej kategorii. A mój w „Metalowcu” albo w „Zagłobie”, albo w „Celineczce”, albo w bramie.

Któregoś popołudnia, bodajże listopadowego, szliśmy na miasto, żeby się powłóczyć, bo na osiedlu nie było co robić. W pewnej chwili zamurowało mnie, bo ojciec wyszedł z „Metalowca”. Pił od kilku dni, więc wyglądał strasznie, w milicyjnej kurtce bez pagonów, zarośnięty, brudny. Nie mógł utrzymać równowagi. Wyszły za nim dwa jakieś oprychowate typy, kierowcy albo niewykwalifikowani robotnicy, i jeden krzyknął, śmiejąc się szyderczo:

- Te, Zenek, oszczałeś se milicjantkę!

Ojciec odwrócił głowę i wymamrotał:

- Ku chwale ojczyzny, towarzyszu generale!

Gdybym mógł, zapadłbym się pod ziemię. Odwróciłem twarz w przeciwną stronę i poszliśmy przed siebie. Piekły mnie policzki, łomotały skronie. Tomasz nie odezwał się słowem ani nigdy nie wspomniał o tym ani o żadnym podobnym incydencie. Jego ojca nigdy nie widziałem w takim stanie, aczkolwiek pragnąłem, pragnąłem szczerze, żeby choć raz upił się w trupa, spadł ze schodów na klatce, zsiąkał się, zafajdał, zblaźnił się na cały blok. Czułbym się wtenczas odrobinę pewniej, bliżej przyjaciela.

Po wpadce ze zdjęciami jego rodzice zabronili nam spotykać się po lekcjach. Wymyślaliśmy rozliczne fortele, by ich oszwabić. Cztery razy dziennie Tomasz biegał z kubelkiem do śmietnika, jak najęty wyprowadzał swojego spaniela. Mówił, że wychodzi do biblioteki, na eskaesy, na kółko, a chodziliśmy się wałęsać, odpalać albo na piwo.

Od czasu do czasu, gdy brakowało nam pieniędzy, Tomaszowi udawało się podiwanić kilo pieprzu z worka, który matka trzyma w szafie w dużym pokoju, za świętymi obrazami owiniętymi szarym pakunkowym papierem. Ten pieprz otrzymują od dziadka z Anglii, zamiast dolarów. Prywaciarze w zieleniakach płacą osiemset złotych za kilo. Było i na fajki, i na dysk, a czasem, w sobotę, wypilo się bełta albo małąkę wódki pod palec. Nie chciałem być dłużny, więc raz sprzedałem w antykwariacie niepotrzebne książki, w tym biblię matki, oprawioną w skórę, wydanie londyńskie, a także podręcznik ojca pt. „Naprawa samochodu marki Fiat 125p”. Dostałem ponad tysiąc złotych. Matka dostała szału, a ojciec pobiegł do piwnicy i oczywiście książki o fiacie nie znalazł. Nie pomogło tłumaczenie, że ani ojciec

nie ma fiata, ani matka nie chodzi do kościoła. Uparli się, abym zwrócił chociaż pieniądze, ale zdążyliśmy wydać je z Tomaszem.

Niemniej, do dzisiaj, choć mija prawie pół roku, ani Tomasz nie był u mnie, ani ja u niego. Siedzimy za to całymi godzinami przy oknach z domofonem.

Właściwie tylko raz spotkaliśmy się oficjalnie. To było nazajutrz po moim wyjściu na wolność. Poszliśmy do szpitala odwiedzić Czarka, który właśnie odzyskał przytomność.

Matki dały nam nawet na kwiaty, i kwiaty naprawdę kupiliśmy.

Czarek wyglądał jak mumia. Głowa w bandażach, nogi w gipsie zawieszono na linkach.

Błada twarz, siniaki pod oczyma. Na brzegu łóżka siedziała Beata; trzymali się za dłonie.

Czarek patrzył na nas bez nienawiści, bez żalu, obojętnie. Nie wiedzieliśmy, co powiedzieć.

Czułem się potwornie winny. Głupia zabawa mogła skończyć się tragicznie. Czekałem na

słowa Tomasza, lecz i on był w kropce. Położyłem wiązankę na blaszanej szafce i

powiedziałem:

- Goździki... Mogły być chryzantemy... Przepraszam, Czarek... Tak głupio to wszystko wyszło. Nie chcieliśmy cię skrzywdzić, to znaczy... Ale nie aż tak...

- Potrzebujesz czegoś? - dodał Tomasz. - Co możemy zrobić, żeby ci ulżyć?

- Wyjść! - odparł cicho Czarek. Staliśmy milcząc nie wiadomo jak długo. Z pomocą pośpieszyła Beata:

- To była wyjątkowo głupia zabawa, ale dajcie już sobie spokój. Stało się. Pozytywne jest to, że wiem, jak bardzo kocha mnie Czarek. A wy dwaj to jeszcze dzieciuchy, mleko macie pod nosem. Coście myśleli? Coście właściwie zamierzali osiągnąć?

Żaden z nas nie odpowiedział. Odezwał się natomiast Czarek:

- Nie życzę wam podobnego świństwa, ale jak to się mówi, co ma wisieć, nie utonie.

Choć nie życzył sobie naszej obecności, zostaliśmy, proponując mu wszystko do usług, co

tylko w naszej mocy. Z początku rozmowa nie kleiła się, lecz po upływie godziny zdawało

się, że nikt już nie pamięta, dlaczego tutaj jesteśmy. Tak się zdawało. Gdybyśmy w ogóle

nie przyszli go przeprosić, pewnie byłoby gorzej. I jemu ciążyłaby krzywda, i nam wina. A

tak osiągnęliśmy obopólną korzyść. Przeżył, to najważniejsze. Będzie zdrow i cały. Do

końca życia będziemy jego dłużnikami. Jesteśmy jak upadły anioł, którego zrzucił z nieba

ogrom sumienia. Nikt nie ucieknie od wyrzutów sumienia. Sumienie należy rozliczyć przed

samym sobą. W tym jednym zgadzam się z matką.

Pożegnaliśmy się, gdy na dworze było już ciemno. Beata także zaczęła się zbierać.

Zapowiedzieliśmy się na wizytę następnego dnia. Czarek odprowadził nas wzrokiem do

drzwi na korytarz. Patrzył obojętnie to na nas, to na Beatę. Z wolna markotniał, smutniał,

kurczył się, znikał.